

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 21 CZERWCA 1930 ROKU

NR. 25

TREŚĆ NUMERU: Kobieta nie może tracić narodowości—*Natalja Jastrzębska*. Dlaczego pani Niuśka nie napisała nowelki?—*Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Poezje: „Dziewczyna z „Sobótki“, „Muzy“, „Treny“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Kobieta i kobiecość w poezji Jana Kochanowskiego — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Zjazd Kochanowskiego w Krakowie—*Krystyna Grzybowska*. Z książek—*S. P. O. i Z. M.* Z teatrów—*S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Po międzynarodowych zawodach konnych w Warszawie—*K. H.* Kobieta w świecie i w domu. Siatkówka—*Emka*. Zwyczaje towarzyskie i dobry ton—*Mary*. Dyskusja z konieczności (dok.) — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Pensjonaty-dziecińce—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Na wsi—*Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“—*Zofja Reutt-Witkowska*. Tablica kroju.

KOBIETA NIE MOŻE TRACIĆ NARODOWOŚCI

Istnieje w ruchu kobiecym jedna sprawa zasadnicza, która przez długie lata była zupełnie zapomniana, a która od pewnego czasu wysunęła się na plan pierwszy na forum międzynarodowym.

Sprawa ta ma może dla Polski znaczenie mniej doniosłe praktycznie, w teorii jednak zależeć nam powinno na jej załatwieniu w duchu bezwzględnej równouprawnienia. Bo chodzi o to, że kobiety mogą korzystać z równych praw obywatelskich, w myśl ustaw swego kraju, a prawo międzynarodowe dzieli, z punktu widzenia prawnego, ludzkość na mężczyzn i kobiety, traktując te ostatnie, jako prawnie upośledzone.

Jest to sprawa przynależności państwowej kobiet, które wychodzą za cudzoziemców.

Mężczyzna, bez względu na to, czy zaślubia rodaczkę, czy cudzoziemkę, pozostaje pełnoprawnym obywatelem swego rodzinnego kraju; kobieta, wychodząc za cudzoziemca, przynależność do ojczyzny traci.

Małżeństwo jest sprawą rodzinną, *prywatno-prawną*; przynależność do macierzystego kraju jest sprawą narodowościową, *obywatelsko-prawną*; sprawa prywatna nie może i nie powinna przekreślać praw i obowiązków publicznych. Z punktu widzenia równouprawnienia, jest niedopuszczalne, aby małżeństwo, które nie czyni uszczerbku prawom obywatelskim mężczyzny, naruszało te prawa dla kobiety. Jeżeli kodeks międzynarodowy stanie na gruncie rozróżniania praw mężczyzn i kobiet pod tym względem, trzeba będzie stwierdzić stanowczo, że pełnia praw obywatelskich kobiety zależy od jej małżeństwa, a tego

nie można w żadnym razie nazwać równouprawnieniem.

To są względy teoretyczne, niezmiennie jednak ważne, jako takie, gdyż teoria równouprawnienia jest zasadą, na której wspierają się wszystkie ustawy, przyznające kobietom prawa obywatelskie wszędzie tam, gdzie zostały im one przyznane. Ale istnieją i względy praktyczne, bardzo nieraz dotkliwe w skutkach. Oto w wielu państwach kobieta, wychodząc za cudzoziemca, traci automatycznie swoje obywatelstwo, ale może się łatwo zdarzyć, że obywatelstwa swego męża tem samem *nie zyskuje*, gdyż niektóre państwa nie przyznają automatycznie obywatelstwa cudzoziemce, zaślubiającej ich krajowca. To jednak byłoby jeszcze najmniejsze zło, ostatecznie naturalizację dla własnej żony dostać można. Są sytuacje gorsze.

Oto w krajach o dużej imigracji, jak np. Ameryka, gdzie przepisy paszportowe i meldunkowe nie są zbyt ścisłe, trafiało się, że ludzie od dawna w Stanach osiedli, wychowali tam swoje dzieci (jednak nie urodzone w Ameryce, gdyż wtedy byłoby, mocą faktu, obywatelami Stanów), które wyobrażały sobie, że przez sam fakt długoletniego zamieszkiwania są już naturalizowane. Co dziwniejsze, że takich, „niepełnych“ obywateli dopuszczano do wypełnienia różnych obowiązków obywatelskich, np. do głosowania. Młodzi ci ludzie pożenili się z amerykańkami i dopiero po ślubie żony ich przekonały się, że straciły obywatelstwo amerykańskie!

Fakty podobne trafiały się często i gdzieindziej,

jak w czasie słynnych rugów niemieckich w Poznańskiem, gdzie usuwano rodziny, które zapomniały już, że przybyły z Królestwa lub Galicji, albo ostatnio, podczas wielkiej wojny, gdy obywateli niemieckich i austriackich, polaków, wysyłano w głąb Rosji, pomimo, że oddawna osiedli w Królestwie. Jaki był los ich żon, przeważnie stałych mieszkanek miejscowych, które jednak przez małżeństwo stały się cudzoziemkami we własnym kraju?

Innego rodzaju, ale również fatalne dla kobiet sytuacje wywiązują się w krajach o wysoko rozwiniętej emigracji, jak Anglja, Francja i Niemcy. Wiele obywaterek tych państw wychodzi zamąż za cudzoziemców w kolonjach, nieraz w krajach półdzikich, gdzie kobieta narażona jest na tysiączne niebezpieczeństwa, a nie ma prawa, nawet w razie rozłączenia się z mężem, zażądać opieki i obrony od władz swego macierzystego kraju. To też walkę o zachowanie pierwotnej przynależności obywatelskiej kobiety rozpoczęły pierwsze amerykanki i angielski; sprawa ta zajmuje największą część szpalt w pismach kobiecych tych krajów.

Koroną jednak upośledzenia i upokorzenia kobiety na tym punkcie jest położenie, które może wytworzyć się dla niej, gdy mąż zapragnie zmienić obywatelstwo w czasie trwania małżeństwa. Kobieta jest w tym wypadku uznana za więcej małoletnią od swych własnych dzieci. Z chwilą bowiem, gdy mężczyzna, ojciec rodziny, naturalizuje się, dzieci jego (o ile ukończyły 18 rok życia), praw przynależności dawnej nie tracą, nie stają się automatycznie obywatelami nowego kraju; sprawa przyjęcia nowego obywatelstwa pozostawiona jest ich uznaniu, po dojściu do pełnoletności. Żona, przeciwnie, traci w tym wypadku swoje obywatelstwo, stać się może w swoim własnym kraju cudzoziemką, nie mającą prawa głosowania, zajmowania urzędów, nawet wykonywania swej pracy zawodowej. Jest niepełnoletnia, choćby była staruszką i jest pozbawiona praw, choćby przedtem korzystała z ich pełni w swoim kraju!

Z tą sytuacją, doprawdy tragicomiczną, trzeba jednak skończyć, do tego dążyć powinny wszystkie kobiety, zarówno w imię zasady równości praw, jak i dla skutków praktycznych.

W tym roku właśnie odbyła się w Hadze konferencja kodyfikacyjna prawa międzynarodowego. Tematem tej konferencji miało być skodyfikowanie praw: wód terytorjalnych, wzajemnej odpowiedzialności państw i narodowości. Na punkcie dwóch pierwszych kwestyj nie uzyskano zgody, konferencja nie doszła do konkretnych rezultatów. Zato w sprawie narodowości konwencję podpisano.

Amerykańskie pisma kobiece podkreślają ironicznie, że gdy chodziło o sprawy polityki morskiej i odpowiedzialności państw, do zgody przyjść nie mogło, gdyż każde państwo wysuwało swoje żądania i

warunki, od których nikt nie chciał odstąpić, każda delegacja strzegła tu pilnie interesów swego kraju; natomiast, gdy przystąpiono do sprawy kobiecej, zgoda stała się odrazu możliwa: o interesy kobiet nie chodziło nikomu!

Zdaje się jednak, że rzecz nie przedstawia się tak źle. Przedewszystkiem ważny jest fakt, że, uważana początkowo za drugorzędną, sprawa narodowości kobiet wysunęła się na pierwszy plan obrad konferencji haskiej; *była tam najgoręcej i najszerzej dyskulowana*. Następnie, projektowany w Hadze kodeks międzynarodowy miał początkowo być uogólnieniem wszystkich kodeksów krajowych, uznających różnicę płci na *niekorzyść* kobiet i przyznających supremację mężczyźnie. Naskutek wytężonej akcji kobiet wszystkich krajów, a głównie naskutek stanowiska delegacji amerykańskiej, projekt takiego kodeksu został poważnie zachwiany. Nie uzyskano wprowadzić zupełnej równości płci wobec praw narodowości, ale wprowadzono do kodeksu podstawę do korzystnych dla kobiet zmian w tym kierunku na przyszłość, a to już jest ważne.

Zasługa tego rezultatu przypada, jak to już wyżej zaznaczono, głównie Ameryce. Jeszcze przed konferencją haską odbył się szereg zebrań i narad między-stanowej komisji kobiecej, która opracowała podstawy swych żądań i plan działania. Przewodniczącą tej komisji była Miss Doris Stevens, znana działaczka amerykańska.

Konwencja narodowościowa obejmuje 21 paragrafów, z których dla kobiet najważniejsze są, dotyczące ich praw narodowościowych, paragrafy 9, 10, 11 i 12. Stwierdzają one, że gdy w myśl ustaw danego państwa, kobieta, w razie małżeństwa z cudzoziemcem, traci przynależność obywatelską do swego kraju macierzystego, *zyskać musi tem samem obywatelstwo kraju męża*; w razie, jeśli kobieta traci swoje obywatelstwo wskutek zmiany obywatelstwa męża, zaszlej w czasie trwania małżeństwa, tak samo uzyskuje nowe obywatelstwo męża (paragraf ten dotyczy utraty obywatelstwa, mogącej zajść wskutek okoliczności politycznych, zmian granic i t. p.). W razie dobrowolnego przyjęcia przez męża innego obywatelstwa, *naturalizacji*, w czasie trwania małżeństwa, kobieta pierwotnego swego obywatelstwa *nie traci*, chyba, jeśli sama sobie tego życzy; wreszcie, w wypadku śmierci męża, lub zerwania małżeństwa, kobieta *może odzyskać swoje pierwotne obywatelstwo*.

Te właśnie cztery paragrafy, aczkolwiek dające kobietom pewne prerogatywy, jak możność powrotu do obywatelstwa macierzystego w razie wdowieństwa lub rozvodu, możność zachowania obywatelstwa w razie, gdy mąż chce swoje zmienić i t. p., wywołały jednak burzę opozycji ze strony amerykanek. Delegacja kobieca amerykańska poruszyła wszystkie sprężyny, aby przynajmniej Stany Zjednoczone konwencji nie

podpisały i ta akcja powiodła się zupełnie. W przeddzień decydującego zebrania konferencji delegatki amerykańskie przesyłały z Hagi kablogram za kablogramem do prezydenta Hoovera; jednocześnie w Białym Domu zjawiała się z tą samą petycją delegacja adwokatów Stanów, wreszcie Senat amerykański sprzeciwił się podpisaniu konwencji, *o ile ta zamierzać będzie jakiegokolwiek paragraf, wprowadzający różnice płci wobec prawa.*

W dniu obrad nadeszła od prezydenta Hoovera depesza do delegata Stanów na konferencji, Mr. Davida Hunt Millera, który na pełnej sesji oświadczył, że rząd jego *polecil mu konwencji nie podpisywać.*

Ameryka więc stanęła odważnie na gruncie pełnego równouprawnienia swych obywaterek, jedyna z 39 innych państw, które konwencję ratyfikowały; Anglja zaprotestowała przeciw wprowadzeniu w kodeksie różnicy płci, konwencję jednak przyjęła. Jednakże, wskutek starań delegacji kobiecych angielskich i amerykańskich, wprowadzone do konwencji, prócz jej paragrafów, t. zw. „voeu”, żądanie następujące: Konwencja haska poleca rządowi poszczególnych państw zbadanie: 1) czy byłoby możliwe wprowadzić do ich ustaw *zasadę bezwzględnej równości płci* w sprawach przynależności narodowej, biorąc głównie pod uwagę *interesy dzieci* małżeństw narodowości mieszanej; 2) rozważenie, jak daleko pójść może decyzyja, że zasada narodowości kobiety nie powinna wo-

góle być naruszona, bez jej zgody, nawet w razie małżeństwa z cudzoziemcem, lub zmiany obywatelstwa męża w czasie trwania małżeństwa.

Jest więc w tej całej konwencji, aczkolwiek nie doskonałej, pewien postęp. Nie postawiła ona kobiety, jako równej w prawach mężczyźnie obywatelki, utrzymała różnicę płci, ale artykuły 9, 10 i 11 ustanowiły w kodeksie międzynarodowym zasadę, że o ile kobieta, wychodząc za cudzoziemca, pierwotne swoje obywatelstwo traci, to *musi tem samem zyskać nowe*, czego dotychczas nie było, artykuł zaś 12 daje kobiecie prawo powrotu do pierwotnej narodowości w razie wdowieństwa i rozwodu, czego również dotąd nie było.

Wszystkie te postanowienia są ważne, jako obowiązujące w kodeksie międzynarodowym, którego państwa, ratyfikujące go, obowiązane są przestrzegać. W wewnętrznych ustawach poszczególnych państw prawa te znajdowały się w różnej mierze, w różnych poszczególnych krajach. Polska np. przyznała już kobiecie prawo odzyskania swego rodzimego obywatelstwa w razie owdowienia lub rozwodu. Obecnie jednak odnośne ustawy poszczególnych państw stały się prawem międzynarodowym. Polecenie zaś, wprowadzone do konwencji, aby poszczególne kraje wzięły pod uwagę *absolutną równość płci* wobec praw przynależności obywatelskiej, jest otwarciem na przyszłość widoku, że równość ta stanie się z czasem obowiązująca i w międzynarodowym kodeksie.

Natalja Jastrzębska

EUGENJA KOBYLINSKA-MASIEJEWSKA

DLACZEGO PANI NIUŚKA NIE NAPISAŁA NOWELKI?

— Boże mój, czy skończę kiedy z tem słowotwórstwem Ułaszyna?! Augmentatura, względnie peiorativa tworzą się zapomocą następujących sufiksów:

a) isko — sufiks nader produktywny... (winszuję!) np.: konisko... ciotczysko...

— Zbyszysko! — przerywa pani Niuśka z irytacją. — Jak będziesz tak hałasował pod drzwiami, to cię oskalpuję. Co za wstrętne chłopczyśko!

(lekki odcień zadowolenia z powodu okazji do zastosowania sufiksu dzwoni w głosie pani Niuśki)

— Dlaczego mama się „wyraża”? — odgryza się synek. — Co ja mamie zrobiłem? Spadłem tylko z kanapy! Inne matki, to...

— Tylko bez „innych matek“! — ostrzega groźnie pani Niuśka. — Ruszaj na podwórze!

— Z przyjemnością! Myślałem tylko, że jak deszcz...

— Co? Deszcz? Nie! siedź tutaj. Puszczaj kolej! Masz huśtawkę. I... na miłość Boską, zostaw mię w spokoju. Przecież uczę się do egzaminu!

Cisza opada łagodnie na porozrzucane podręczniki i wygładza pionowe fałdki na czole pani Niuśki. Za chwilę jednak widok cerkiewno-słowiańskiej gramatyki, drzemiącej tymczasem na fotelu, budzi w oczach cień troski o nieprzetrawione dostatecznie aorysty. A jeszcze przecież nowelka! Kiedyż się ją napisze? Ba! trzeba gramatykę odłożyć na później, teraz wziąć trochę dialektologii, a za godzinę jakąś zabrać się do pisanja.

Na tę myśl pani Niuśka uśmiechnęła się, przymykając oczy. W głębi wzbierał nurt aż szumny od piany nieurodzonych jeszcze wyrazów. Piana słodko pluskała o wybrzeże serca, już wyluskując ze srebrnego zamętu pierwsze natarczywe słowa... Pokój stał

się rozkołysaną przystanią dla nadbiegających marzeń... Rozplaszczyły się pokornie sucho-szeleszczące karty podręczników... Rozpłynęły się, pozacierały głoski...

Pani Niuśka drgnęła i mrugnęła oczyma, gdy o drzwi jej ciszy uderzył hałas dalekiej kłótni... Niski głos synka nasiąkał gniewem i urazą w miarę zajądłego terkotania i piskliwych wykrzykników kobiecej złości.

Trzeba było iść na ratunek.

— Coto? Czego? — należało głos wytężyć, aby zagłuszyć zawzięty duet.

— Ona jest niedotknięta! Głupia! — zamanifestował dziewięciolatek swoją pogardę.

— Nie mogą już tu wytrzymać! Boże Ty mój! Zabił on mnie ze wszystkim!

— Co jej zrobiłeś?

— Rzuciłem koło niej tomahawkiem, ale jej nie o to...

— Ach, Jezus! Niechaj on ktoś wie, co robi, nic nie powiem. Ale jak zaczyna tym hamhawkiem, serce moja nie cierpi! Bifszteksy naczysto spaliliś, a kto winien? Nie mogą ja z tym rozpustnikiem. Cemu to inne państwo tego nie pozwala? Jak pan wyjecha, żadnego tolku w domu niema z dzieciukiem.

— Cicho! Zbyszek, marsz z kuchni! Nie rób mi uwag, Maryśka! Ostatecznie włos ci z głowy nie spadł, czego masz ryczeć? Och, jak mi to wszystko obrzydło!

Cisza znowu... Pani Niuśka odgrodziła się zatrzaśnięciem drzwi od reszty świata, pozostawiając nadąsanego syna na ulubionej kanapie. Ale brak szmerów z przyległego pokoju dotknął ją w samo serce nieruchomości dziecięcego nasepienia.

— Chodź do mnie, syneczku. Właśnie możesz ze mną obejrzeć mapę dialektów.

— Dziękuję! Wczoraj musiałem słuchać tego... słowiańskiego. Fe! Wolalbym mieć rower. A Maryśka nie z powodu tomahawka się darła, ale że przeczytałam na papierze: „Najmilszy i szanowny Antoni...” To ona tak napisała. Chciałem dalej czytać, ale ona mnie w kark... A ja koło niej tomahawkiem. A ten Antoni to ma ubranie powalane wapnem i zagląda do kuchni przez okno.

— Dobrze już, dobrze! Patrz, Zbyszczku, już możesz iść na podwórze... Słońce!

*

Rozklekotaną głowę pani Niuśki objęła chłodnym uściskiem dobroczynna cisza. Do pokoju wpadło słońce i rozbłysło jaskrawym zygzakiem na błyszczącym zegarku. Należało korzystać z chwilowego spokoju, więc pani Niuśka rzuciła się z zajądłością do wyszukiwania pozostałości cech aorystycznych w gwarach góralskich i śląskich, gdy dzwonek wświdrował się w ciszę, rozpryskując ją na drobne cząsteczki, dygotliwie podrygujące dokoła oszołomionej głowy.

— Sekwestrator! — sapnęła zziąjana Marysia.

— Jezus, Marja! — pani Niuśka mężnie zwalczyła małoduszną chęć ukrycia się do szafy z ubraniem, stanowczym krokiem udając się do przedpokoju.

— Niestety, ostatnia rata podatku lokalowego za rok 29 dotychczas nieuregulowana! — ubolewał nieokreślonego wieku osobnik, szukając czegoś zapamiętane po kieszeniach.

— Niestety! — stwierdziła pani Niuśka z gorczyzą.

— Zmuszony jestem opisać pani meble! — poinformował ponuro niemily gość, wydobywając z zanzardza okulary.

— Niech pan czyni swoją powinność! — wyrzekła pani domu, dając dowód odczytania tą cytata z powieści kryminalnych.

Wylękniony Zbyszek znalazł się przy mamie wraz z tomahawkiem; trwała też mężnie na stanowisku Maryśka, uzbrojona w łyżkę, noszącą ślady śmiewy. Wszyscy, jak jeden mąż, ruszyli do jadalnego pokoju za przedstawicielem prawa, który zasiadł z godnością przy stole, pożądliwie spoglądając w stronę ogromnego kredensu.

— Kredens dębowy... hm!

Towarzystwo spojrzało po sobie. Zbyszek uśmiechnął się złośliwie. Ale kresowa uczciwość pani Niuśki zaprotestowała:

— Panie! Panie! Niech pan poczeka. To nie nasz kredens! Gospodyni domu nam go wypożyczyła.

— To się zawsze tak mówi — burknął mąż urzędowy, dziobiąc długim nosem w porozkładane papiery.

— Ja mówię prawdę.

— Mało to mię wzrusza. Kredens tutaj stoi, więc należy do mieszkania.

Pani Niuśka oczyma wezwała sufit na świadka swojej rozterki i odesłała zaciekawioną Marysię do kuchni.

— Zaraz pan kredens zabierze? — zainteresował się nagle Zbyszek.

— Hm... — zmarszczył się zapytany. — O ile go udźwignę. Pomożesz mi?

— Figa! — wypalił malec, uciekając w stronę kuchni.

— Doskonale ułożone dziecię! — drwił ponury mąż, chowając papiery.

— Robi się, co można — odpowiedziała potulnie pani Niuśka, wściekła w duchu na Zbyszka. — Obrzydliwe sekwestratorzysko! — zemściła się na sufiksach i magistracie. Należało teraz skarcić niepowściągliwego syna, ale ten znikł z horyzontu.

— Nie, czuję, że mąż jest w każdym domu niezbędny! — zdecydowała pani Niuśka i nagle podniosła głowę, zaniepokojona dziwnym szmerem, dobiegającym z jej pokoju. Zaraz na progu stanęła, jak wryta.

— Maryysiu! Maryśkaaa!

— Ach jej! A toż co takiego? — pisnęła dziewczyna, wodząc wybaluszonymi oczyma po pokoju.

Z części sufitu, przylegającego do łazienki, ściekała grubemi kroplami woda, w łazience słychać było żywione bębnienie i bulgotanie.

Pani Niuśka, skrzywiona pod rześnistym deszczem weszła tam, stwierdzając, że na podłodze łazienki utworzyło się już jezioro.

— Jezus, Maryjeczka! Jak żyją, tak jeszcze takiej sztuki nie widział! Ot tobie i na!

— Leć, Maryśka, na górę! O, ja nieszczęśliwa! Co oni tam wyrabiają?

Trzaśnięcie drzwiami, dudnienie po schodach... wrzask... i Maryśka już zdaje relację.

— Zapomnieli kran zakręcić, żeby ich kolka! A Jezus, jakie to ludzie bez głowy na tym świecie! Pani ciągle na mnie, a ta ichna służąca to już po prawdzie cholera!

— Marysiu, bez takich słów!

— Tak jakżeż mnie na jej powiedzieć? Ot już nie rozumiem!

— Możesz powiedzieć „idjotka” — po namyśle odpowiedziała pani, odsuwając z wysiłkiem łóżko, bo krople ściekały rzadziej, ale szerzej z namokniętej plamy na suficie.

— Mama będzie mogła spać pod parasolem! — poradził Zbyszek, który, jak z pod ziemi, wyrósł w tym pokoju.

— Bałwan! — rozgniewała się matka. — Czego się cieszysz? Patrz, jakie tu nieporządki! Ale ty zawsze... Oj, zobacz, kto dzwoni?

— Listy! Ten do mamy... i ten — komunikował przejęty Zbyszek. — I żeby zapłacić za radio.

— Nie mam! Zwarjowali! Wszystko na raz! Jakże mię głowa boli od tych przyjemności! Chyba już po obiedzie będę mogła coś zrobić...

*

Pani Niuśka z westchnieniem ulgi pozbyła się swojej mazgajowatej uczennicy, własnoręcznie zapinając jej płaszczyk i położyła palec na czole, by się dostatecznie skupić przed ułożeniem dalszego planu działania. Trzeba byłoby pójść ze Zbyskiem na spacer?... No, trudno — niech się bawi na podwórzu... Przecież ta nowela! Białe kartki cichutko czekają na biurku. W sercu już drży zniecierpliwienie... Prędko drzwi pozamykać! Jedno spojrzenie za okno, skąd widać czerwony berecik... Cień troski (Zbyszek dziś nie-swój) niknie w podświadomości.

Pani Niuśka z namaszczeniem zasiadła przy biurku ze wzrokiem, utkwionym w białej firance nad oknem. Z firanki tej często spływało ku niej skrzydlate natchnienie (szczególniej, jeżeli miała zamiar gorliwiej zająć się cerkiewno-słowiańskim). W tej chwili jednak firanka drżała i sufit trząsł się od harców, wyprawianych przez urwisów na pierwszym piętrze.

Ktoś walił czymś ciężkiem o podłogę, więc rozgniewana literatka podniosła głowę jeszcze wyżej i doczekała się, że spadł jej na nos kawałek tynku.

— To skandal! — zdecydowała pani Niuśka, łapiąc się za włosy. — Czuje, że staje się krwiożercza. Trzeba, żeby Maryśka znów leciała na górę!

Pani Niuśka pomknęła do kuchni. Gdy otworzyła drzwi, dostrzegła ciemną postać, błyskawicznie znikającą w sieni... Marysia z przytłumionym okrzykiem upuściła dwa talerze na podłogę.

— Jesteś kat na naczynia! — jęknęła biedna pani. — Wczoraj filiżanka Zbyszka, dzisiaj talerze...

— O, Jezus, jak ja była przestraszywszy się (zgnębiona Marysia ukłękła, by zebrać skorupy). Ale po prawdzie to dlatego, że pani nie pozwala, żeby kto do mnie przychodził. Czy on jaki złodziej czy pijanica? Żenić się on ze mną chce, ot co!

— Kto on taki?

— Domy robi! — rzekła dumnie dziewczyna. — Zarabia. Ale ja nie wiem. Sierota ja nieszczęśliwa. Któż mnie poradzi na tym świecie?

Tu Maryśka buchnęła płaczem i bezsilnie usiadła na stolku. W tej chwili jednak wrzasnęła jeszcze głośniejsze i zerwała się na równe nogi. Jednocześnie w uchylonych drzwiach kuchni ukazała się męska, nieco gapiowata twarz, a wkońcu korpulentna postać, rzeczywiście umazana wapnem.

Teraz przestraszyła się pani Niuśka.

— Niech pani z łaski swojej nie gniewa się — odezwał się przybysz. — Tylkoż jeżeli pani porządnego człowieka z dziewczyną zobaczyć się nie puka, to w ta pora ona tu być nie może. Nie płacz, duszeczka, Pan Bóg nie pozwoli krzywdzić sieroty.

— Idźże ty do cholery! — rozkrzyczała się nagle Marysia. — A nikt mnie tu nie krzywdzi!

— Więc czegoś tak wrzasnęła? — zgromiła ją chmurna pani Niuśka.

Marysia w zakłopotaniu przesunęła wierzchem dłoni pod nosem.

— Jakżeż mnie było nie krzyżeć, jak ja była usiadłszy na ta maszynka? — wyjaśniała zaczerwieniona, podnosząc ze stolka maszynkę do kręcenia mięsa.

Tu krępy człowieczyna prysnął nosem z wielkiego zachwyty i przestąpił z nogi na nogę pod groźnym spojrzeniem bohdanki.

Pani Niuśka powoli wycofywała się z kuchni, która z chwilą wejścia obcego człowieka stała się dla niej jakaś nieswoja i nieprzytulna.

— Dobrze! — powiedziała już na progu. — Jeżeli uważacie, że dziewczynie dzieje się krzywda, to ją zabierajcie.

Tu drzwi mocno zamknęła za sobą.





Wojciech Grabowski: „Sobótka”.

DZIEWCZYNA Z „SOBÓTKI“

Dziewczyno białopięsna,
płyniesz przez stulecia,
niezmienna, jak szum wiatru
i jak barwa kwiecia.
Stoisz, maisz markocze
bylicowem zieleń,
tak do szczęścia ci trzeba
niemiele... a wiele.
Pod zielenią jaworów
zawsze będziesz czekać
na tego jedyneho,
co miłość przyrzeka.
Na tego najmiłszego,
w którego objęciach
przeczuwasz sens natury,
cudowność poczęcia.

MUZY

To my, te same muzy wielkiego Homera,
rozstajnymi drogami błądzące po świecie,
we dworze czarnoleskim bywałyście nieraz,
zakłute lustro sztuki wskazując poecie.
To myście mu na serce kładły białe ręce
tak długo, aż się ogniem niebieskim zapalił.
Wtedy, perne wierności swego oblubieńca,
kazałyście mu czekać i wierzyć z oddali.
A potem tajemniczo zaskrzypiały szafy,
a potem żadne wino nie chciało ukoić,
a potem was zapomnieć nigdy nie potrafił
i niewidzialnym śpiewał do końca dni swoich.

TRENY

Cóż to stało się lipom i pisanyom dzbanom,
że cienia dać nie mogą i nie chcą ochłodzić?
To znikomy kształt dziecka, co ojcu zabrano.
To życie, co ze śmiercią nigdy się nie zgodzi.

To żal, co się zabłąkał na serdecznych drogach
i zwątpienia się czepia, jak wichher parkanu.
To zagadka natury, czy zagadka Boga,
na wieczne niepokoje człowiekowi dana

LUCYNA KRZEMIENIECKA



Pomnik Urszuli w Czarnolesiu.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

KOBIETA I KOBIECOŚĆ W POEZJI JANA KOCHANOWSKIEGO

(w czterechsetną rocznicę urodzin poety)



J. Matejko: „Jan Kochanowski”.

Wielcy poeci — to zarazem wielcy jasnowidze i wielcy odkrywcy w dziedzinie ducha. Skupiając w sobie i kondensując żywotne prądy epoki, doprowadzają je do najwyższego emocjonalnego napięcia i z tego szczytowego punktu wzruszenia ogarniają nowe horyzonty, nieraz niedostępne najbardziej rzutkim i sprężystym intelektom.

Kochanowski dla swojej epoki był taką odskocznią uczuciową w przyszłość. Dziecko swego wieku, zrazu pogrążony w konwencjonalnych formułkach poetyckiego wyrazu, dojrzewając duchowo, musiał rozsadzić martwą skorupę klasycznego szablonu, za ciasną dla rozpościerających się skrzydeł natchnienia; umiał z humanisty wyrosnąć na człowieka, któremu naprawdę nie ludzkiego nie było obcem.

W tej stopniowej przemianie dużą rolę odegrało uczucie do kobiety. Nie kobieta sama, nie wrażenie, jakie budziła, nie jej bezpośredni wpływ, życiowy, intelektualny czy moralny, ale reakcja poetycka na uczuciowy bodziec, jakim dla wrażeniowca tej miary, co Kochanowski, była kobiecość. Rozległa skala wzruszeń erotycznych, etapy stopniowej sublimacji uczuć do kobiety, ich hierarchizowanie w rzędzie innych czynników i pobudek artystycznych u Kochanowskiego — to temat do obszernego studjum, temat, któremu tu z konieczności dajemy postać syntetycznego skrótu.

Brak ścisłych biograficznych danych o latach dzieciństwa, pacholeństwa i najwcześniejszej młodości Kochanowskiego uniemożliwia nam wniknięcie w ten okres jego życia, kiedy dusza dziecka krąży jeszcze w orbicie wpływów matki i atmosfery rodzinnej. Kochanowski w swoich utworach ten okres świadomie, czy nieświadomie pominął. Rzewną pamięcią liryka nigdy do niego nie wraca. Wchodzą tu może w grę ówczesne poglądy artystyczne, według których tematy, związane z dzieciństwem, uważane były za niegodne prawdziwego poety.

Trzeba było aż tak tragicznego wstrząsu, jak śmierć Urszulki, aby zedrzyć skorupę przesądów i rozzerwać zasłonę tajemnicy, jaka kryła związek duchowy między synem, a matką. Ale zanim to nastąpi, Kochanowski przejść musi długą drogę uniesień, porywów, złudzeń i zawodów młodości, triumfów i klęsk wieku męskiego, aby u jego schyłku wrócić, choćby w poetyckiej fikcji, do tego samego źródła pociechy, z którego piła jego dusza dziecięca — do serca matki.

Pójdźmy za nim tą drogą. Oto młody student padewski, spragniony uciech i rozkoszy, wpada w siłą Lidji-kurtyzanki. Krewki młodzieniec poprostu dojrzał do miłości zmysłowej i powitał ją radośnie, jak rewelację życiową. Nie jest to jednak przeciętny romans studencki z epoki odrodzenia. Jest to romans poety i to poety ubożego, który łaski kochanki może sobie zaskarbić jedynie niewyczerpanym kapitałem swoich uczuć gorących, których jednostronność zmysłową uszlachetnia niejako styl i poza klasyczna.

Gorączka miłosna kończy się ostrym kryzysem. Zdradzony i opuszczony przez kochankę, poeta cierpi, rozpacza, szaleje, jak tylko młodość cierpieć i szaleć potrafi.

Cały ten, niezbyt budujący, ale z duchem wieku zupełnie zgodny romans przedstawiony jest w elegjach łacińskich Kochanowskiego w sposób jeszcze tak bardzo konwencjonalny, że przez długi czas historycy literatury traktowali Lidję, jako postać zmyśloną, jako pretekst literacki do napisania całego szeregu erotyków. Prof. Windakiewicz dowiódł, że mamy tu do czynienia z istotnym przeżyciem miłosnym poety, ciekawem chociażby dlatego, że ujawniła się w nim znamienna cecha jego psychiki: fakt, że ból odczuwał silniej, niż radość.

Te radości krótkotrwałe i głęboki ból miłosny czekały go na progach kariery dworskiej. Dwór królewski, dwory możnych panów, były to przecież ówczesne salony, na których młódź szlachecka spotykała się z pannami fraucymmeru. Tam kojarzyły się małżeństwa, tam uprawiano gorliwie sztukę kochania, wraz z modnym strojem z Włoch na grunt polski przeszczepioną. W tej sztuce dwornych zalotów Kochanowski musiał być mistrzem nielada i kto wie, czy nie rozmieniałby na drobne miłostki skarbów swej uczuciowości, gdyby nie wielka, prawdziwa miłość, która na drodze jego stanęła w postaci pięknej, polskiej panny wysokiego rodu.

A jest to miłość, w niczem nie przypominająca

padewskich erotycznych zapałów. I tradycja i obyczaj ówczesny otaczały pannę szlachecką nimbem niedostępności. Zdobyć ją można było tylko przez ołtarz. Ku małżeństwu też zmierzały miłosne wynurzenia poety w Pieśniach i Fraszkach, skierowane do wybranki, której imię pozostało tajemnicą. Szczęśliwa Bezimienna, której danem było wzbudzić w największym poecie polskiego renesansu uczucia tak wysokiej miary, tak szlachetne w swej istocie i subtelne w wyrazie, że dla ich wypowiedzenia trzeba było wyjść poza wzory klasyczne i sięgnąć do Petrarki.

Ale i ta nowsza, lecz mglista koncepcja miłości idealnej nie zadowolniła poety, nie zdołała ogarnąć tych szerokich i wszechstronnych horyzontów, jakie zakreślało mu jego uczucie. Pilny uczeń ksiąg pozostał nieodrodnym synem ziemi. Pomimo właściwej lirykom marzycielskości, kochał prosto, naturalnie, intensywnie i dążył do zrealizowania swej miłości na drodze legalnej.

Kto wie, czy w tem zamierzonym małżeństwie poeta, poza szczęściem osobistym, nie widział i urzeczywistnienia kariery życiowej? W każdym razie jedno mamy prawo stwierdzić: jest to miłość prawdziwa, mocna i szlachetna, stanowiąca przełom i punkt zwrotny w stosunku Kochanowskiego do kobiety. Już nie tylko kochanki w niej szuka, ale i wiernej towarzyszkę życia. Płochą Aphrodis padewska ustępuje miejsca płomiennemu Erosowi, którego miał z kolei złuzować stateczny Hymen. Ale do Hymenu nie doszło. Miłość „ubogiego młodzieńca“ skończyła się zerwaniem. Szczęśliwszy rywal zdobył serce, a może i rękę panny.

Poraz drugi w życiu Kochanowskiego krynica kochania poi go jadem i goryczą zawodu.

Poraz drugi kusząca kobiecość nie chce mu być miłościwą szafarką szczęścia doczesnego. Czarująca i kapryśna Chimera zmienia się rychło w okrutną i mściwą Astartę, sprawczynię niezasłużonego bólu, żalu, strapienia i frasunku. To strapienie i frasunek dalekie jest wprawdzie od rozpacz i nie łamie krzep-

kiej, choć wrażliwej natury poety; ale studzi jego późniejsze miłosne zapały, hamuje intensywność przeżycia, nakłada tłumik na struny artystycznego wyrazu. Przyszły słowik czarnoleski odśpiewał swoje *appassionato* miłosne; odtąd pozostaje mu w tej dziedzinie uczuć tylko *scherzo* i *andante*.

Osiedlenie się Kochanowskiego w Czarnolessiu zmienia zasadniczo jego postawę wobec życia i jego pogląd na kobietę. Opada z niego lśniąca łuska dworzanina i światowca, wyrasta z pod niej rasowy ziemianin i rolnik, nieodrodnym wnuk Piasta, zawołany hreczkosiej. W walce o byt zwyciężył instynkt ziemi i rodu. Żony mu trzeba, dorodnej, zdrowej, energicznej, rządnej gospodyni, nietyle mistrzyni uciech miłosnych, co szafarki skrzętnej wszelakiego dobra, które rodzi pole, łąka, sad i obora — pani jego domu, matki jego dzieci, kapłanki ogniska rodzinnego.

Ten tradycyjny ideał kobiecy znajduje w Dorocie Podlodowskiej. Małżeństwo z nią — to rezultat nietyle gwałtownej miłości, co dojrzałego namysłu i statecznego wyboru. Dorota nie zawiodła pokładanych w niej nadziei. W ciągu dziesięcioletniego pożycia była dobrym duchem poety. Dzięki wrodzonym darom serca i umysłu, nietylko była mu dzielną towarzyszką życia, pomocnicą w pracy, ale umiała mu stworzyć to, czego dotychczas nie zaznał: atmosferę rodzinną. Nie dość na tem: w tej atmosferze potrafiła widać utrzymać ów wewnętrzny rytm życia, uzgodniony z duchem poety; najpiękniejsze utwory Kochanowskiego powstały w Czarnolessiu, a pożycie małżeńskie, w którym nie brakło ciosów, wolne było od zgrzytów, nieporozumień i dysharmonji. Jakby przygrywką do tej suity sielskiej jest „Sobótka“. Podziwiać w niej można tę świeżość intuicji, która pozwoliła poecie zidentyfikować swój nastrój z przeżyciami miłosnymi młodych dziewcząt.

Z umiłowaniem, z naiwnym nieraz zachwytem śpiewa Kochanowski szczęście rodzinne, związane nierozzerwalnie zarówno z urokami wsi, jak i z postacią ukochanej żony. W realnej prostocie tej poezji chleba



Kaplica w Czarnolessiu.

powszedniego odbiega zarówno od wzorów klasycznych, jak i od włoskiego komunału; jest sobą, jest jednym z wielu, jest wyrazicielem zbiorowych nastrojów i ideałów rodzinnych Polski ziemiańskiej.

Węzłem, który najsilniej może zespolił Kochanowskiego z żoną, była wspólna ich miłość do dzieci. Węzła tego nie przecięła, przeciwnie, raczej go wzmocniła śmierć Urszulki. Objaw bardzo znamieny dla uczuć rodzinnych obojga Kochanowskich: śmierć ukochanego dziecka wykopuje niekiedy przepaść między dwojgiem rodziców, próżnię, którą instynktownie starają się zapęlić wzajemną urazą, czy nienawiścią. Tutaj to było niedopomysłenie. Harmonja małżeńska oparta była, widać, na trwałych fundamentach.

Zazwyczaj śmierć Urszulki rozpatruje się pod kątem genetycznym: z niej to przecież urodziło się największe arcydzieło poezji domickiewiczowskiej. Trafnie zauważył prof. Windakiewicz, że Kochanowski, „jako poeta wieku dziecinnego, jako psycholog dziecka, jest pierwszym artystą w literaturze europejskiej i podobnie, jak Rubens portretowi żony i dziecka zawdzięcza jeden z głównych tytułów do chwały”.

Urszulka stała się heroiną żalosnej historii bólu ojcowskiego, sama we wspomnieniach rodziców, jak poranek radosna. W psychologicznej analizie bólu rodzicielskiego w „Trenach” zapomina się zazwyczaj o tej, która do tego bólu najpierwsze może miała prawo i największy jego, choć najmniej dla potomnych widoczny, ciężar na barkach swoich niosła: o matce.

Nie zapomniał o niej jednak poeta. Wprowadza ją do „Trenów”, jako osobę działającą, dwa razy: raz, gdy Urszulka umiera; drugi raz, gdy matka przychodzi ją ubrać do trumny. Ale nawet wtedy, gdy się o niej nie mówi, czujemy jej obecność, jej rękę troskliwą, jej wpływ wychowawczy na dzieci; wyczuwamy tę żywą sprężynę, ukrytą w mechanizmie domowym. „Treny”, zgodnie z opinią już cytowanego prof. Windakiewicza, „są nieświadomą apoteozą żony Kochanowskiego, a właściwie miłości pani Kochanowskiej dla męża”. Poeta nietylko postawił nagrobek dziecięciu, ale zbudował pomnik polskiego życia rodzinnego, w którym kobieta tak wielką odgrywała i odgrywa rolę.

Ustalił pozatem swój stosunek duchowy do trzech faz kobiecości: do córki, jako ojciec, do żony jako mąż, do matki — jako syn. A stało się to nie skutkiem jakichś założeń programowych, które w utworze o tak wysokim polocie natchnienia, jak

„Treny”, były zgola niedopuszczalne, ale pod wpływem naturalnego impulsu.

O jednej tylko osobie chciał mówić Kochanowski w „Trenach”: o Urszulce. Ale, oplakując dziecko, nie mógł pominąć żony-współcierpiętnicy. W bólu swym nie był samotny: był nim w zwątpieniu. Żona mogła koić jego lzy, ale nie mogła mu otworzyć wrót Erebu. To musiał być ktoś wtajemniczony, ktoś, komu sama natura dała prawo karcenia syna, a śmierć obdarzyła mocą jasnowidzenia i nieomyślności. Tym kimś mogła być tylko matka, nieżyjąca już wówczas od lat 22, ta sama matka, o której Kochanowski w utworach swoich nigdy przedtem nie wspomina, a która teraz przyjdzie rozwiązać wszystkie wątpliwości, rozproszyć mroki, dłonią z zaświatów zamknąć usta bluźniące.

Nietylko żołnierze, umierający na polu walki, wołają „mamo! mamo!”. I poeta w momencie śmiertelnej rozterki z sobą samym, ze światem i z Bogiem, wzywa matki, tego ostatecznego ratunku i ucieczki zbłąkanych. Śmierć Urszulki w przedziwny sposób odradza i nawiązuje w sercu i umyśle poety zerwany przez życie łańcuch duchowego matryjarchatu. Na szczytach kobiecości w poezji Kochanowskiego króluje Matka.

Na zakończenie wspomnieć należy jeszcze o jednym wcieleniu kobiecości, które wprowadzie z osobistym życiem Kochanowskiego nie ma żadnego związku, ale wyrasta ponad inne postacie skupieniem i potęgą wyrazu. To Kassandra z „Odprawy posłów greckich”. Tragiczna wieszczka, malująca upadek Troi w słowach-Płomieniach, jakby wydartych z pod sklepienia Sykstyń. „Krzyknęło serce: Polska! Pióro pisze: Troja”¹⁾. Dlaczego właśnie nie Antenora stateczny, ale przez Apolla opętana córka Prjamowa głosi te, na ton klasyczny przetransponowane, przepowiednie upadku ojczyzny? Czy podświadomie nie oddał tu poeta hołdu intuicji kobiecej, w danym wypadku intuicji historycznej, która w paręset lat później, gdy się spełniły wróżby Kassandry, kazała nowym Sybilom powstać na ruinach i, wbrew istniejącej zagładzie, wierzyć w cud zmartwychwstania?

Antenor-mężczyzna przewiduje, oblicza, ostrzega — Kassandra-kobieta przeczuwa i widzi. Rachunek Antenora jest rachunkiem prawdopodobieństwa; wiza Kassandry była nieomylną.

¹⁾ Poezja Felicji Kruszewskiej: „Odprawa posłów greckich”.

KRYSTYNA GRZYBOWSKA

ZJAZD KOCHANOWSKIEGO W KRAKOWIE

(Od specjalnej korespondentki)

Piękna, czerwcową noc na górze wawelskiej. W dole od miasta migocze mnóstwo światła i światełek. Na Wiśle odbijają się czerwone latarnie pobliskich mostów. W starych królewskich ogrodach, gdzie zwykle o tej porze trochę tylko zapóźnionych równie zapóźniony spotka przechodzień — ruch i gwar. Front katedry i zamku, kiedyindziej ciemny i w mroku wieczornym się gubiący, dziś rysuje się ogromnie plastycznie; występują załomy i fragmenty, przy blasku

dziennym niewidoczne. Ale okna są zawsze jeszcze ciemne, niektóre nawet deskami pozabijane; to od dołu rzucone światło reflektorów, poukrywanych w zarostach i pod murami, jest źródłem tego blasku i ożywienia. Jednak widom, zwłaszcza tym, którzy, wychodząc od ulicy Kanonicznej, ujrzą przed sobą nagle wyniosły narożnik zamku z basztą Kurzej Stopki — zamek wydaje się potężny, ale posępny i jeszcze jakby martwy.

Kłóci się z tem wrażeniem długi sznur automobili i pojazdów, ciągnących powoli, jeden za drugim na górę. Zwolna jednak ustaje i przerzedza się ta cała procesja. Słychać, jak pokolei z krakowskich kościołów zegary wydzwaniają godzinę, słychać daleki hejnał z wieży marjackiej; aż nagle gdzieś opodał wybuchają dźwięki potężnej fanfary. To na dziedzińcu wawelskim orkiestra wita wychodzącego z renesansowych krużganków Antenora. Grają „Odprawę posłów greckich” z okazji Zjazdu imienia Kochanowskiego, przed licznem audytorjum, złożonem przede wszystkim z czołowych przedstawicieli nauki i literatury polskiej, polskich władz i polskiego rządu, przy asyście wielu gości zagranicznych.

Kiedy — prawie pięćdziesiąt lat temu — odbywał się w Krakowie pierwszy naukowy zjazd historyczno-literacki, także imienia Kochanowskiego i także przez Akademię Umiejętności inicjowany — warunki były zgoła odmienne. Polskość, prześladowana i tępiona, tam znalazła swój pełny wyraz. Zjazd stał się w pewnym sensie protestem, a zarazem był najskuteczniejszym sposobem domagania się niezależnego bytu, przez wykazanie wartości, jakie posiada nasza kultura. Dzisiaj — podkreślano to niejednokrotnie zarówno w przemówieniach zjazdowych, jak i głosach prasy — celem Zjazdu stało się położyć fundament pod taki sam złoty okres kultury polskiej, jakim był wiek XVI.

Dał więc obecny Zjazd Kochanowskiego obraz tej staropolskiej kultury — i to obraz wszechstronny, nie tylko naukowo ujęty, ale i do wyobraźni naszej przemawiający przez liczne wydawnictwa, wieczory, koncerty, wreszcie przez wspaniałe wystawienie „Odprawy posłów greckich” na dziedzińcu arkadowym Wawelu. Dzięki wielkiej ilości przedstawicieli nauki zagranicznej, stał się też ten Zjazd propagandą naszej kultury i zadokumentowaniem jej ciągłości i jej tradycji.

I w prasie i w przemówieniach Zjazdowych zauważyć można było często wyraźne podkreślanie aktualności pewnych postulatów Kochanowskiego, zawartych zwłaszcza w jego społecznej filozofii. Prasa wykorzystwała to na swój sposób, cytując różne urywki z pism poety, jedni pod wymownym tytułem „Kochanowski do rządu”, inni, przypominając, że właśnie na prośbę króla Stefana Batorego, a za pośrednictwem kanclerza Zamojskiego napisał poeta swoją „Odprawę”, zwróconą ostrzem krytyki przeciwko panoszącej się wówczas szlachetczyźnie i sejmokracji.

Przy zamknięciu Zjazdu prof. Rozwadowski w pięknym i głębokim przemówieniu tak mniej więcej zakończył swoją charakterystykę Kochanowskiego. „Ta, nurtująca w głębi duszy polskiej gorycz i ogromna tęsknota poprawy i odmiany zespala nas z Kochanowskim równie potężnie, jak jego „Treny”. Ta gryząca tęsknota trwa już całe wieki, ale właśnie ten fakt długotrwałości powinien w nas chyba budzić otuchę. Kiedyś dojdziemy do jasnego rozeznania, że owo pełne goryczy uczucie niezadowolenia każdy z nas powinien zwrócić przede wszystkim do samego siebie. A wtedy wszystko zmieni się na lepsze”.

Wystawienie „Odprawy” stało się niewątpliwie najefektowniejszym zdarzeniem Zjazdu. Gdy zabłyśły światła, a w ich olśniewającym blasku wystąpiły nagle na pierwszym planie renesansowe krużganki Wawelu, gdy zdaleka zabrzmiały potężne fanfary, a na

scenie pojawiła się imponująca postać Antenora — wrażenie było naprawdę nie do opisania.

Wystawienie „Odprawy” jest zresztą tylko wznowieniem. Po raz pierwszy wystawił ją dyr. Trzcński w roku 1923. Wtedy obecny był na przedstawieniu Prezydent Wojciechowski, lał ulewny deszcz, a publiczność przyglądała się — z pod parasoli. Dziś — prześliczna letnia noc, księżyc w górze i migoczące gdzieś gwiazdy podniosły jeszcze urok tego — śmiało można to powiedzieć — misterjum narodowego. Zasługuje na taką nazwę „Odprawa” właśnie przez obywatelskość i głębię myśli politycznej. Nie przemawia już do nas tylko jej militarizm, nie przemawia zwłaszcza do uczestników Zjazdu naukowego, który wziął sobie za zadanie budować przyszłość narodu cichą pracą uczonych, a który w dużej mierze ma charakter międzynarodowy.

Podczas, gdy jeden wieczór zajęła uczestnikom Zjazdu „Odprawa” — drugi poświęcony był koncertowi „historycznemu”. Usłyszeliśmy szereg utworów z wieku XVI-go kompozytorów polskich przedewszystkiem, więc Mikołaja Gomółki, Marcina Leopolity, lutnisty Bekwarka i wielu innych; dalej kompozytorów włoskich i francuskich, także paru współczesnych — przeważnie do słów Kochanowskiego. I tu, podobnie, jak na dziedzińcu wawelskim, prócz uczestników Zjazdu widać tłumy publiczności, galowe stroje pań, wieczorowe pań, słychać co chwila język cudzoziemski... Cały ten wielkoświatowy nastrój, niezwykły w sennym trochę i tak cichym Krakowie, przecież stonował się z miastem (słusznie noszącym przydomek „uniwersyteckiego”) przez swój skupiony i poważny nastrój. Wyczuwa się w nim przede wszystkim atmosferę hołdu dla poety, atmosferę święta nauki i chwilami — prawie nabożeństwa. Odmienność melodji, staroświeckość tańców i monotonność psalmów sprawia, że — odwrotnie, niż na przedstawieniu „Odprawy” — publiczność zapomina o dniu dzisiejszym i oczyma duszy widzi przede wszystkim wizję lat dawnych.

Tę samą wizję epoki Zygmuntońskiej, epoki rozkwitu renesansu, daje nam urządzona na Wawelu wystawa sztuki. Dwie sale, w których się mieści — to pozostałości dawnego zamku Kazimierza Wielkiego, sklepienie po gotycku izby. W jednej z nich, której sklepienie wsparte jest na potężnym filarze kamiennym, mieścił się do końca istnienia Rzeczypospolitej skarbiec koronny. Ale poza gotycką architekturą tych sal wszystko mówi o renesansie: arkady dziedzińca zamkowego, przez który musimy przejść, aby dostać się na wystawę, portal wejściowy, portale wewnątrz sal. Na ścianach zawieszono obrazy i gobeliny, w gablotkach pomieszczono zabytki przemysłu artystycznego. Całości dopełnia wystawa starych druków i wydań pism Kochanowskiego. W ten sposób zyskujemy pełny obraz sztuki renesansowej w Polsce, w latach życia wielkiego poety — świetną ilustrację do obrazu, jaki nam daje naukowa część Zjazdu — odczyty.

Prof. Kot, główny organizator Zjazdu, podkreślił w pożegnalnym swem przemówieniu, że jednym z celów Zjazdu było spopularyzowanie epoki wśród szerszych warstw. Ze względu na wielkie zainteresowanie publiczności, cel ten został w dużej mierze osiągnięty. Odczyty i rezultaty obrad oraz dyskusja zostaną udostępnione wszystkim, bo Akademia Umiejętności wyda je osobno w dwutomowym dziele, noszącym tytuł: „Kultura staropolska”.

Oficjalnych uczestników Zjazdu było ponad tysiąc. Wśród nich bardzo wielu cudzoziemców, zwłaszcza słowian, z tych najwięcej Czechów. Jest też przedstawiciel Włoch, Francji, Stanów Zjednoczonych, Łotwy, Finlandji, Rumunji i innych. Rosjanin, Sergiusz Kułakowski, podnosi serdeczny nastrój, jaki się pośród tych wszystkich uczestników wytworzył. Z cudzoziemców wszyscy prawie mówią, a w każdym razie rozumieją po polsku. Prof. Maver, Włoch, zyskuje sobie wielką sympatię i długotrwałe brawa, kiedy — pierwszy z zagranicznych gości — zwraca się na posiedzeniu inauguracyjnym do zebranych po polsku, przemawiając doskonałym akcentem. Wziął on, jak zresztą i inni goście zagraniczni, czynny udział w pracach Zjazdu, wygłaszając ciekawy referat na temat oryginalności Kochanowskiego.

Niepodobna zdać sprawy ze wszystkich uroczystości, jakie odbyły się jednocześnie z okazji Zjazdu. Nie można tylko pominąć milczeniem Zjazdu polonistów, który obradował w poprzednim tygodniu. Był on poświęcony polonistyce i miał charakter pedagogiczny. Ze wszystkich stron Polski przybyli do Krakowa specjaliści tego działu wiedzy, badacze językoznawstwa i pedagodzy, aby uzgodnić program swych prac wychowawczych i wypracować wskazówki, jakie metody winny być stosowane przy nauce języka polskiego w szkołach. Podkreślano przytem, jak wynika ze sprawozdań dziennikarskich, odrębność nauczania praktycznego języka polskiego od działu literackiego i gramatycznego, którym bywa ono często podporządkowywane.



Stanisław Windakiewicz: „Jan Kochanowski” — Kraków 1930.

Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

Książka Windakiewicza o Kochanowskim jest jednym z tych rzadkich dzieł naukowych, z których poprzez chłodną mądrość bije ciepło serdeczne. Jesteśmy tu świadkami rodzinnego niejako współzycia badacza z poetą. Wskutek długiego obcowania z jego utworami krytyk stał się przyjacielem zażyłym, wyrozumiałym i współczującym. Towarzysząc wiernie poecie w zmiennych kolejach jego losów, umiał w ich splocie odszukać nie rozwój duchowego, którą prowadzi konsekwentnie aż do najwyższych szczytów natchnienia. Analiza dzieł przeradza się w studjum psychologiczne, wskazujące nam twarz poety-człowieka w maskach i bez maski. „W oczach zamkniętego kochanowczyka oblicze jego jest zmienne, pełne ruchu i zajmujących przeobrażeń, dopóki pobyt w Czarnolesie nie ustali jego posagowych rysów”.

Odrębność Windakiewicza wśród innych biografów Kochanowskiego polega na starannym i wnikliwym malowaniu środowisk, w jakich kolejno znajdował się poeta, i do których musiał przystosowywać zarówno swój tryb życia, jak i rodzaj twórczości. Szczególniej okres Czarnoleski dostarczył mu dużo

materiałów do syntetycznego odtworzenia polskiego ziemiańskiego wnętrza w XVI.

Nawet „Treny” traktuje Windakiewicz nie od ich strony wewnętrznej, psychologicznej, ale od zewnątrz, pod kątem życia rodzinnego, i tą drogą wydobywa z nich świeże, dotychczas zwykle przez krytyków pomijane wartości dokumentu obyczajowego. Zasluga jego polega na tem, że zbliżył nas do Kochanowskiego, nie zdmuchując zeń jednak mgły legendy. Dzięki niemu, Kochanowski stał się nam zrozumialszy, ale nie mniej wielki. Nastrój poufności nie obniżył dzieła, skrócił tylko dystans, dzielący człowieka nowoczesnego od człowieka polskiego renesansu.

S. P. O.

Jan Kochanowski: „Pod lipą Czarnoleską” — przełożył Julian Ejsmond. Poznań. Księgarnia Św. Wojciecha. 1930 r.

Książka Ejsmonda już raz przeżyła swój okres zasłużonej chwały, otrzymawszy w roku 1919 pierwszą państwową nagrodę literacką. Ceniło się ją wówczas, jako syntezę stosunku kultury teraźniejszości do kultury przeszłości i jako jasną świadomość narodu, zdającego sobie sprawę ze swych wielkich dorobków umysłowych.

Obecnie, drugie wydanie przekładów Ejsmonda, wypuszczone w świat w 400-setną rocznicę urodzin Kochanowskiego, każe nam zwrócić uwagę przedewszystkiem na samego poetę, na jego dawno ocenione, a jednak zawsze świeże wartości.

Dane nam przekłady jego wierszy łacińskich wypełniły lukę, jaka dotychczas istniała w bezpośrednim obcowaniu poety z narodem, bowiem łacińskie jego wiersze pozwalają nam poznać bliżej jego stosunek do klasycyzmu.

Pierwiastki antyczny i rodzimy, polski, które kształtowały twórczość Kochanowskiego, są w tomiku przekładów Ejsmonda uwzględnione z ogromną wyrazistością, nie tylko dzięki umiejętnemu doborowi wierszy, ale i bardzo kunsztownej i pełnej pietyzmu formie przekładu.

Wybór wierszy łacińskich, podany nam przez tłumacza, obejmuje wszystkie niemal rodzaje poetyckie, uprawiane przez Kochanowskiego i całkowicie przedstawia możliwości twórcze poety. Mamy tu więc i Elegje miłosne, gdzie w czysto klasycznej, doskonale przez tłumacza zachowanej formie, zawarta została cała rzewność słowiańska i dynamika uczuciowa, która potem wybuchnie z taką siłą w „Trenach”; mamy i „Fraszki”, zaprawione rdzennie polskim humorem; mamy „Wiersze różne i Pieśni”, stojące już na koturnach klasycznego spokoju.

Dla każdego z tych rodzajów znalazł Ejsmond właściwy wyraz — od lekkiej archaizacji języka począwszy, a skończywszy na kunsztownej rytmice i harmonijnie dobranych rymach, które w danym wypadku musiały być dziełem samego tłumacza.

Gdyby indywidualność twórcza Kochanowskiego była jednolitą bryłą, wniknięcie w charakter jego poezji nie nastęczałoby takich trudności, jak w tym wypadku, gdzie tłumacz, jak to wyżej było zaznaczone, musiał oscylować między klasyczną szkołą poetycką, jakiej hołdował Kochanowski, a jego polskim temperamentem twórczym, nie tracąc cech, im właściwych.

Tylko rasowy poeta potrafi nagiąć swój talent do tak naiwnej potoczności wiersza, jaką miała polska poezja z epoki Zygmuntońskiej; tylko wielki znawca i miłośnik Kochanowskiego mógł z takim pietyzmem podejść do twórców poety.

Z. M.



Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

Uroczyste przedstawienie dla uczczenia 4-setnej rocznicy urodzin Jana Kochanowskiego.

Ta publiczność, na której intencję odsunięto miejsca prawosowe o dwa rzędy wstecz, a która do teatru nie przyszła, obawiała się napewno dwóch rzeczy: upału i jubileuszowej „pily”. Tymczasem nie było ani jednego, ani drugiego. Na sali panował chłód, i fizyczny i duchowy, — pily nie było. Przemówienie wstępne W. Borowego, wykraczające poza szablon okolicznościowych peanów, nawiązało bezpośredni kontakt między słuchaczami a poetą, który miał za chwilę przemówić ze sceny. Pewne ciekawe analityczne spostrzeżenia, naszkicowane w tym wstępie, godne są szerszego rozwinięcia przez znakomitego krytyka.

Recytację poezji Kochanowskiego przez artystów poprzedził nieco trywialny efekt wzrokowy. Osiem osób w czerni, sztywno siedzących rzędem z arkuszami papieru w ręku, sprawiało wrażenie jakiegoś groteskowego gremjum egzaminacyjnego. Marmurowe słowo Kochanowskiego zrobiło jednak swoje. W interpretacji tego słowa kobiety trzymały prym przed mężczyznami. Szczególniej Solska, wydobyła z niego całą głębię uczuciowości, umiejętnie podkreślając czar archaizmów językowych. Niewiadomo tylko poco kazano jej deklamować pieśń taneczną z „Sobótki”, której charakter zupełnie nie leży w możliwościach jej głosu i temperamentu. Natomiast potężny jej talent, głęboka kultura i wielki styl aktorski odniosły całkowity triumf w wieszczym monologu Kassandry, w odegranej następnie „Odprawie posłów greckich”. Tę krótką, ale niebezpieczną rolę, z której tak łatwo ześlizgnąć się do hysterji, świetna artystka postawiła na wyżynach tragicznego majestatu. Była naprawdę wieszczką narodu, nie obłąkaną kabotynką. Z pozostałych wykonawców „Odprawy” świetnymi warunkami zewnętrznymi, żywą i malowniczą gestykulacją oraz głosem opanowaniem swej długiej recytacji wyróżnił się Socha w roli posła. Wniósł pierwiastek żywej muskulatury w dialogi posągów. Chór, poprawnie zestrojony, był nieco martwy w pozach i w ruchach automatyczny. Całość w reżyserji Warneckiego zachowała właściwy, antyczny koloryt.

S. P. O.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DOM KSIAŻKI POLSKIEJ

Joseph Conrad: „Młodość. Jądro ciemności”, tłumaczyła z angielskiego Aniela Zagórska.

„Narcyssa i Wanda”, listy Narcyzy Żmichowskiej do Wandy Grabowskiej (Żeleńskiej). Wydał i wstępem poprzedził Tadeusz Żeleński (Boy).

„BIBLIOTEKA BOYA”. ARCYDZIEŁA LITERATURY FRANCUSKIEJ

Lesage: „Djabeł kulawy”.

Balzac: „Komedja ludzka”. Muza z Zaścianka.

Stendhal: „Lamiel”.

Diderot: „Kubuś fatalista i jego pan”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

Ewa Szelburg-Zarembina: „Chusta św. Weroniki”.

Karin Michaelis: „Pierwsza miłość Gunhildy”.

PO MIĘDZYNARODOWYCH ZAWODACH KONNYCH W WARSZAWIE

W Łazienkach, na jednym z najpiękniejszych hipodromów na świecie odbyły się IV Międzynarodowe Zawody konne.

Do konkursów stanęły ekipy armji włoskiej, francuskiej i polskiej. Palmę pierwszeństwa zatrzymali włosi, nieczwórnani w klasie jazdy, zdobywając poraz wtóry Puchar Narodów. Dotrzymywali im placu francuzi, których w ostatnich dniach konkursów prześladowało złośliwe fatum, powodując upadki i okaleczenia.

Nasze dawne gwiazdy albo znikły, albo zbłądły; ukazało się natomiast na horyzoncie, jako ekwiwalent, kilka nowych wybitnych talentów jeździeckich i wspaniałe okazy koni. Można stąd snuć na przyszłość pomyślnie horoskopy, byleby jeźdźcy nie zaniedbali usilnej, wyteżonej pracy.

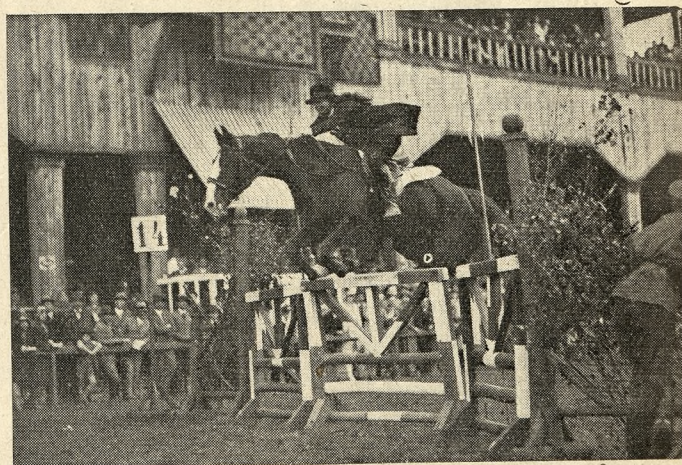
Staranność, ambicję i pracowitość widać było w szeregach bardzo licznego zastępu pań. Do konkursów zapisało się 15 amatek, jeżdżących, oczywiście, po męsku. Stawały do zawodów „dla pań i jeźdźców cywilnych”, bijąc bezapelacyjnie nielicznych cywilów. Niektóre jeździły w konkursach wybitnie męskich, wykazując odwagę, opanowanie konia, dużą pracę, a często styl i formę o wiele lepszą od niejednego wojkowego współzawodnika.

Dotychczasowa mistrzyni jazdy, p. Zofja Chodkiewiczówna, uwydatniła swój piękny, doskonały styl i formę bez zarzutu. Zmiana konia widocznie wpłynęła na to, że nie pozostała na pierwszym miejscu. P. Bronisława Juchniewiczówna też dawny „as”, dobra w formie, spokojna, opanowana, po trudnej rozgrywce podzieliła się pierwszą nagrodą z p. Wandą Czaykowską. Nowa ta, młodziutka gwiazda jeździecka zabłysła pełnym, niezwykłym talentem. Śmiała, lotna, doskonale władająca końmi (jeździła na dwóch), brała przeszkody pewnie, z brawurą, zdobywając wszystkie pierwsze nagrody i powszechne uznanie. Została faworytką sezonu.

Wśród uczestniczek wyróżniła się pewną, spokojną jazdą p. Wanda Harlandowa; p. Z. Kucińska, śmiała i wytrzymała, ale jeszcze w niedość opanowanej formie, i p. Zofja Sikorska, młodziutka, a już bardzo wytrenowana sportsmenka.

Konkursom pań przyglądały się tłumy publiczności ze specjalnym zainteresowaniem.

K. H.



P. Wanda Czaykowska w skoku przez przeszkodę.

Kobieta w świecie i w domu

DZIESIĘCIOLECIE KLUBU

Klub Polityczny Kobiet Postępowych obchodził w tych dniach dziesięciolecie swego istnienia. Jest to zresztą tylko etap w czasie działalności, nie klubu, jako stowarzyszenia, ale działalności jego członkiń, które wszystkie od dawna pracują społecznie w różnych ugrupowaniach.

Klub jest stowarzyszeniem ponadpartyjnym, o charakterze demokratycznym. Linją wytyczną jego działalności są sprawy kobiece: zrównanie praw we wszelkich dziedzinach życia, ochrona kobiety przed wyzyskiem, ochrona matki i dziecka, łączność z organizacjami kobiecymi na terenie międzynarodowym, interwencja w wypadkach jakiegokolwiek krzywdy prawnej kobiet, stawianie postulatów nowych uprawnień w sprawie kobiecej; w tym zakresie Klub pracuje gorliwie i nieustannie. Stanowi on zgrane gremjum, idące konsekwentnie po linii swych założeń i, jako taki, wywiera poważny wpływ na opinię.

Uroczystość obchodu dziesięciolecia rozpoczęła się przemówieniem przewodniczącej Klubu, dr. Budzińskiej-Tylickiej, która scharakteryzowała ideologię prac i poczyniła; o historii Klubu mówiła p. Męczkowska; o stosunkach międzynarodowych, udziale w licznych kongresach posłanka E. Waśniewska; następnie zabierały głos pp.: senatorka Daszyńska-Golińska, dr. Kodisowa, p. Bujak-Boguska i inne. Odczytano szereg listów i depesz z życzeniami, poczem członkinie złożyły piękne upominki i kwiaty dr. Budzińskiej-Tylickiej, podnosząc w serdecznych przemówieniach jej zasługi i niezmordowaną pracę w Klubie. Obchód zakończyło zebranie towarzyskie.

POD HASŁEM POKOJU, SPRAWIEDLIWOŚCI I WSPÓŁPRACY

W ostatnich dniach obradował w Wiedniu kongres Międzynarodowej Rady Kobiet. Rada powstała w r. 1888 w Waszyngtonie, jest to więc najstarsza organizacja międzynarodowa kobieca. Celem stowarzyszenia jest nawiązanie kontaktu ze zrzeszeniami kobiecymi wszystkich krajów, w celach współpracy dla dobra ludzkości, rodziny i kultury. Rada wyłącza ze swego programu sprawy polityczne i religijne, pozostawiając pracę w tym kierunku do uznania poszczególnych rad narodowych. Każda rada narodowa jest autonomiczną jednostką, której przewodnicząca jest członkiem Zarządu Rady Międzynarodowej.

Oprócz przewodniczących rad narodowych, wchodzi do tego międzynarodowego zarządu przewodniczące 12 komisji: pokoju, równouprawnienia, jednakowej moralności płci, zdrowia publicznego, opieki nad dziećmi, oświatowej, emigracyjnej, prasowej, pracy kobiet, finansowej i t. p. Zakres działalności tych komisji określa dokładnie rodzaj prac Rady; te same prace prowadzą u siebie poszczególne rady narodowe, które powinny łączyć wszystkie ważniejsze zrzeszenia kobiece danego kraju, bez różnicy ugrupowań przekonaniowych.

Wielkie kongresy Rady Międzynarodowej odbywają się co pięć lat. Na zjazd obecny do Wiednia przybyły delegatki 40-tu krajów, nie wyłączając najdalszych i najegzotyczniejszych, jak Chiny i Indje. Niektóre z pań (z Lotwy i Estonji) ukazały się na uroczystym otwarciu kongresu w Burgu, w strojach narodowych. Anglja, której obywatelka, sędziwa lady Aberdeen, jest przewodniczącą Rady, przysłała przedstawicielki

wszystkich dominjów, nawet z Tasmanji. Z Indyj przybyła liczna delegacja, z udziałem księżną, Maharani Geakwar of Baroda na czele.

Wśród delegatek znajduje się wiele kobiet, zasłużonych w pracy społecznej i politycznej i mających wielkie uznanie i wpływy na terenie międzynarodowym, jak lady Aberdeen, p. Hainisch z Austrii, ks. Cantacuzène z Rumunji, p. Avril de St. Croix z Francji, p. Plaminkowa z Czechosłowacji. Polskę reprezentuje delegacja, w której skład wchodzi: przewodnicząca p. Józefa Szebekowa, p. Wanda Ładzina, Januszowa Rabska, Strusiówna i Zofja Zaleska.

Wzruszającym epizodem podczas otwarcia kongresu było przemówienie p. Marjanny Hainisch, matki pierwszego prezydenta Austrii. Jest to 92-letnia staruszka, najstarsza z żyjących nesterek ruchu kobiecego. P. Hainisch przemówiła, witając kongres zszereżonych, pracujących dla pokoju, zaznaczając, że hasłem ludzkości dzisiejszej powinno być: nie wolno zabijać. Głos tej stuletniej prawie kobiety dochodził aż do najdalszych zakątków wielkiej sali, wypełnionej 2-tysięcznym tłumem. Całe audytorjum, stojąc, urządziło p. Hainisch gorącą owację.

Oprócz delegacji, obecni byli na zjeździe przedstawiciele rządu, z kanclerzem Schoberem i ministrem Hainischem na czele, władze miejskie, delegaci Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie, Instytutu Współpracy Umysłowej, Ligi Narodów i szereg wybitnych osobistości ze świata naukowego i politycznego.

Po uroczystym otwarciu kongresu, rozpoczęto pracę w komisjach. Znamiennym faktem podczas obrad stała się depesza, nadesłana do kongresu przez angielskiego premiera Mac Donalda. Ramsay Mac Donald stwierdził, że państwa nie zrozumiały nauki wielkiej wojny i umysły polityków zaprzatają w dalszym ciągu idee walki i zaboru. Akcja pokojowa *wtedy tylko będzie owocna, gdy kobiety uzyskają wpływ na politykę międzynarodową!* W tym samym duchu przemówiła delegatka polska, p. Szebeko, zaznaczając konieczność lepszego wzajemnego zapoznania się ze sobą narodów. Z chwilą, gdy narody poznają się i rozumieją, nastanie trwały pokój.

Kongres uchwalił cały szereg wniosków. Rada Międzynarodowa żąda dopuszczenia kobiet do delegacji na Zgromadzenie Ligi Narodów i Konferencje Międzynarodowego Biura Pracy, zawarcia między wszystkimi państwami traktatów rozjemczych, na zasadzie statutów Ligi Narodów, paktu Kelloga, oraz rozbrojenia powszechnego. W zakresie prac społecznych uchwalono współdziałanie z Międzynarodowym Komitetem Współpracy Umysłowej, wychowanie dzieci i młodzieży w duchu wzajemnego poznania się i porozumienia narodów, oraz szereg wniosków w sprawie ochrony kobiet, opieki społecznej i zdrowia publicznego. W sprawach kobiecych postanowiono najściślejszą współpracę Rady Międzynarodowej z innymi międzynarodowymi organizacjami kobiecymi, w pierwszym rzędzie dla zwalczania prostytucji i handlu żywym towarem.

KOBIECE OBOZY LETNIE

W zbliżającym się okresie wakacyjnym Komitet Społeczny Przystosowania Kobiet do Obrony Kraju organizuje dwa obozy dla dziewcząt niestowarzyszonych, lub wchodzących w skład stowarzyszeń, które nie posiadają własnych obozów, a mianowicie: obóz dla 400 robotnic w Fronolowie nad Bugiem i drugi dla żeńskiej młodzieży pozaszkolnej w Kozienicach, dla 156 uczestniczek.

Poraz pierwszy w tym roku Komitet urządzi obóz dla robotnic; trwać on będzie od 15-go czerwca do 15-go sierpnia r. b., w 4 okresach dwutygodniowych, po 100 uczestniczek każda. Kandydatki do tego obozu wpłacają 7 zł. wpisowego i otrzymują bezpłatnie: przejazd w obie strony, utrzymanie i umundurowanie.

Obóz dla młodzieży pozaszkolnej trwać będzie od 1-go do 25-go sierpnia. Kandydatki wpłacają 25 zł. wpisowego i zaopatrują się w przepisowe umundurowanie; otrzymują bezpłatnie przejazd w obie strony i utrzymanie.

Wszelkich informacji udziela Sekretariat Komitetu (ul. Krucza 29 m. 6) codziennie w godzinach urzędowych.

Oprócz powyższych, stowarzyszenia prowadzące prace przysposobienia wojskowego kobiet organizują dla swoich członkiń szereg obozów w różnych miejscowościach.



Cyklistki kalifornijskie urządziły sobie melodrom na dachu jednego z drapaczy nieba w San Francisco.

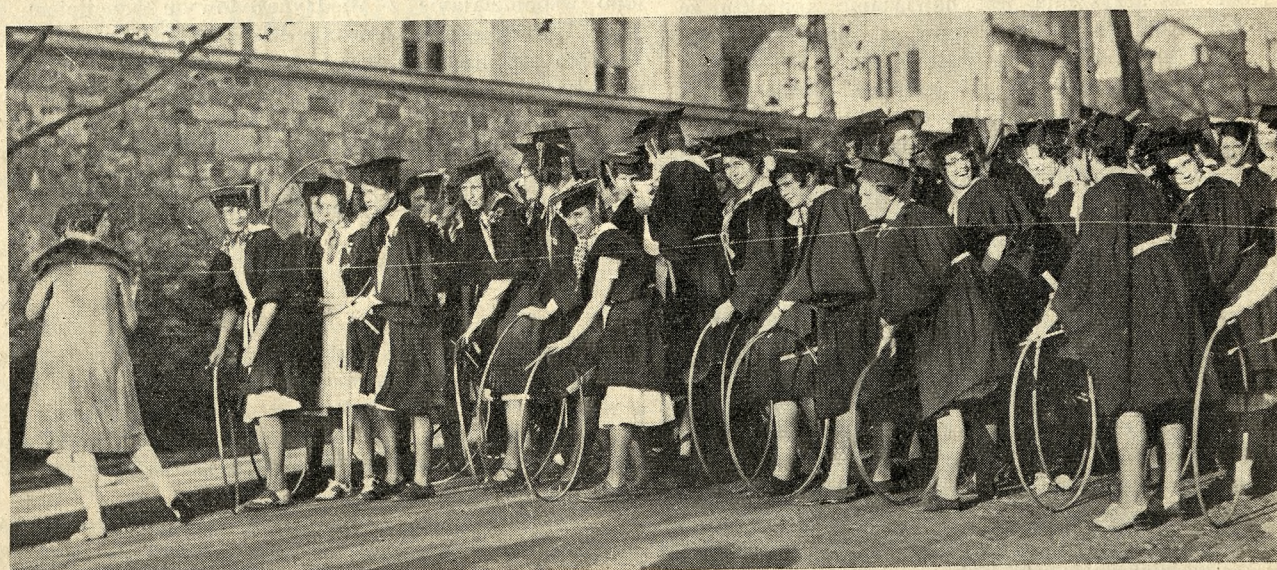
ZEBRANIE NA ZAMKU.

Z inicjatywy p. Prezydentowej Mościckiej i pod Jej przewodnictwem odbyło się w Zamku zebranie dla utworzenia Koła Kobiecego w sprawie budowy szkoły obrony przeciwgazowej. Wiceprezes Komitetu Stołecznego L. O. P. P. p. Martynowicz i jeden z najlepszych w Polsce i w Europie znawców wojny chemicznej kapitan Kalusiński przedstawili wymownie wagę szkolenia w obronie przeciwgazowej ludności cywilnej, a zwłaszcza kobiet. Na wypadek wojny, a jest rzeczą więcej niż pewną, że przyszła wojna będzie tylko wojną chemiczną, każda kobieta odegra w swoim domu rolę komendanta twierdzy, oblężonej przez wroga, straszliwą trucizną, zagrażającą życiu jej i jej rodziny. Każda kobieta musi nauczyć się obrony przeciw gazom, uszczelnienia mieszkań, używania masek przeciwgazowych, zabezpieczenia dzieci, np. niemowląt, którym przecież maski włożyć niemożna i t. p. To właśnie zadanie nauczania ludności cywilnej obrony przeciwgazowej na wypadek wojny spełniać będzie budowana przez L. O. P. P. szkoła. Na dokończenie tej instytucji potrzeba jeszcze milion złotych, których zebranie stanowić winno jedno z najpierwszych zadań społeczeństwa. Komitet stołeczny L. O. P. P. zwrócił się w tym celu do kobiet, które od dawna już wciągają planowo do swych prac.

Po ożywionej dyskusji, wybrano ściślejszy Komitet, który, jak to słusznie w swym przemówieniu podkreśliła pani Prezydentowa, zająć się winien nie tylko gromadzeniem funduszy, ale szeroką propagandą akcji L. O. P. P. i stałą współpracą z zadaniami obrony przeciwgazowej.

NIECH ŻYJE ZABAWA!

Studentki amerykańskie uważają, że powaga studjów nie przeszkadza najweselszej, dziecinnej zabawie. Na zakończenie roku akademickiego odbywają się w różnych wyższych uczelniach konkursy zabaw. W Wellesley College odbył się wyścig z kółkami, w którym wzięły udział słuchaczki w birtach i togach studenckich.



Start z kółkami.



Partja siatkówki.

SIATKÓWKA

Gra w siatkówkę, czyli piłkę latającą, była już znana w czasach dawnych; dziś zpowrotem zyskała prawo obywatelstwa, dzięki łatwości opanowania jej, a ze względu na dużą ilość ruchów, szczególnie wyprostnych, nadaje się dla osób, pracujących w pozycji siedzącej lub zgiętej.

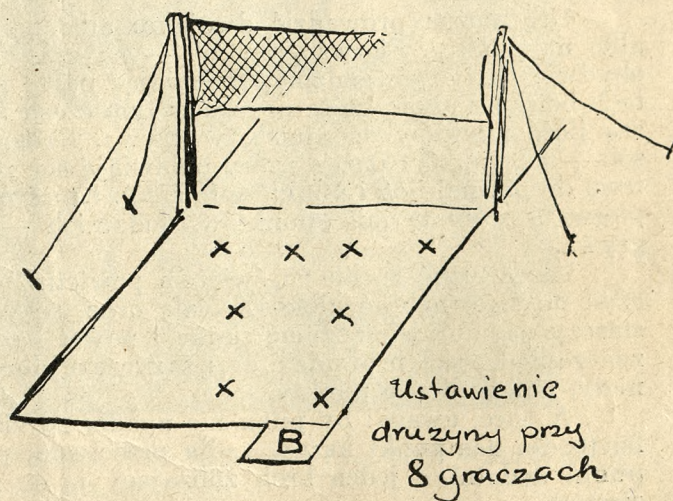
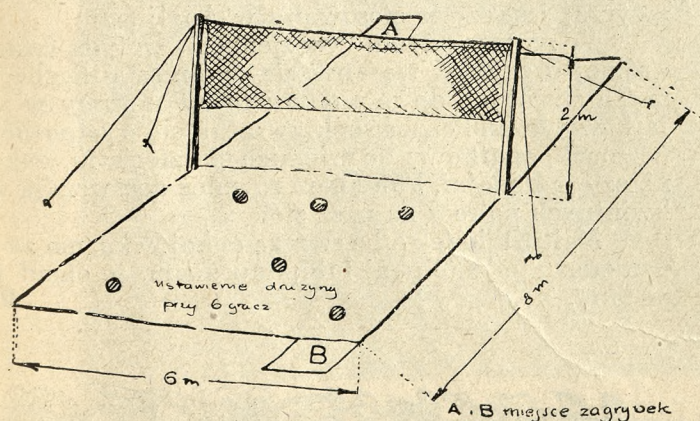
Dla kobiet ma ona szczególne znaczenie, ponieważ nie wymaga wielkiej siły fizycznej, a wyrabia zwinność, gibkość, szybką orientację, oraz skupia uwagę. Zaletą piłki siatkowej jest i to, że nie wymaga ona zbyt kosztownego boiska, a cały sprzęt składa się z piłki, dwóch pali i siatki.

Boiskiem może być pastwisko, murawa, lub równo ubite podłoże. Kształt boiska może być kwadra-

towy o boku 6 m. długości, lub też prostokątny, o wymiarach 6 m. na 8 m. Granice oznaczamy białymi liniami, zakreślonymi wapnem. W dwóch przeciwnych narożnikach oznaczamy miejsca A i B, służące do zagrywek (miejsce, skąd się serwuje). Całe boisko podzielone jest siatką, umieszczoną na dwóch palach; górna krawędź siatki powinna być na wysokości 2 m.; piłka gumowa, obciągnięta skórą, o wadze 250 gramów.

Drużyna składa się z sześciu, lub ośmiu graczy po każdej stronie (rozstawienie graczy — 6 i 8 — podane jest na rysunku). Linia graczy przy siatce jest linią ataku, w tyle — linia pomocy.

Gra w siatkówkę polega na przerzucaniu piłki





Sposób łapania piłki.



Sposób rzucania piłki.

przez siatkę bez odbicia się piłki o ziemię, przyczem przeciwnicy odrzucają ją zpowrotem na tych samych zasadach. Po której stronie piłka upadnie na ziemię, tej stronie liczy się punkt karny, względnie stronie przeciwnej jeden punkt dodatni. Po upadnięciu piłki na ziemię zagrywa strona przeciwna (ta, która liczy sobie punkt dodatni).

Grę zaczyna jedna osoba, serwując z miejsca zagrywki (A lub B), w ten sposób, że podrzuca piłkę i uderza w nią pięścią; następna podbija ją dalej, nie łapiąc i nie przetrzymując w rękach, przyczem należy uważać, by piłka nie upadła na ziemię i starać się przerzucić ją za siatkę.

Strona przeciwna, nie chwytając piłki, odbija ją zpowrotem.

Grę można prowadzić dwojako: albo na czas, albo na punkty. Pierwszy sposób — na czas: grają obydwie partje pół godziny, zmieniając po 15 minutach boisko. Partja, która uzyska w tym czasie większą ilość punktów dodatnich, wygrywa. Drugi sposób — na punkty: partje zgóry umawiają się, że gra trwa do pewnej ilości punktów (np. 20). Która partja pierwsza zrobi tę ilość punktów dodatnich — wygrywa.

Chcąc użyć ruchu na świeżem powietrzu, ćwiczyć mięśnie, nabrać gibkości ciała oraz siły, wystarczy na murawie rozpiąć siatkę i nawet bez wyznaczania boiska prowadzić grę; przyczem, dla podniety, należy liczyć punkty.

A więc, uwaga! by piłka nie upadła na ziemię, bo to dla nas punkt karny, a dla przeciwnej partji punkt dodatni, o jeden krok zbliżający ją do zwycięstwa.

Emka

ZWYCZAJE TOWARZYSKIE I DOBRY TON

IV. PODANIE OBIADU. — OBSŁUGA.

Wytworność posiłku zależy nietylko od przystrojenia stołu kwiatami, od bogactwa zastawy i przepychu nakrycia, od umiejętnego połączenia oświetlenia elektrycznego i kandelabrow ze świecami — ale także od urządzenia całości.

Powiedzieliśmy, że w obsłudze jest potrzebna szybkość, ale bez przesady, gdyż zawrotny pośpiech może być odpowiedni jedynie w bufetach kolejowych. Jeżeli wszystko ma iść składnie, trzeba, aby było przemyślane systematycznie, z pewną metodą.

Nawet wówczas, gdy dom nie jest postawiony na wielkiej stopie życiowej, są zawsze okoliczności — np. ślubu, albo jakiejś rocznicy — gdy da się przewidzieć, jeżeli nie oficjalny, to jednak dosyć liczny obiad wystawny. Takie zebrania wymagają wydatków, które nazwiemy wyjątkowymi, wobec czego tem bardziej należy sobie zapewnić ich umiejętne użycie.

System polega na dostatecznej liczbie obsługujących przy podawaniu potraw. Stosownie do ilości biesiadników, liczba ich winna być podwójna, potrójna a nawet poczwórna, zwłaszcza przy bankietach rodzinnych, w tym wypadku, gdy przewodniczy wiekowa babunia, otoczona swemi dziećmi i wnukami.

Dla dwunastu albo czternastu osób wystarczy podwójna liczba podających, to znaczy, że dwóch podaje półmiski jednocześnie. Jeden i drugi rozpoczynają każdy w swoim zakresie, od pani najstarszej wiekiem i od drugiej na najwybitniejszym stanowisku.

Skoro liczba gości wynosi ponad dwadzieścia osób, wskazana jest potrójna ilość obsługujących. Zwyczaj maitre d'hôtel podaje półmiskę, za nim drugiego służący niesie sosjerkę albo jarzynę.

Odpowiednie ubranie służby zapewnia wytworność całości. Maitre d'hôtel jest ubrany we frak i czarną kamizelkę. Ta czarna kamizelka odróżnia go od gości w białych kamizelkach. Rękawiczki ma białe, niciane.

Można dowolnie zastąpić obsługę męską przez pokojówki, ubrane jednakowo w czarne sukienki, z białymi fartuszkami haftowanymi, w białe szemizetki, ozdobione gipiurą, oraz w zgrabne białe czepeczki. Całość jest miła dla oka i robi wrażenie świeżości. Ten zwyczaj jest często stosowany w Anglii.

W naszym życiu codziennem, w tych czasach ogólnej drożyzny, staramy się ograniczyć liczbę naszych służących do minimum; to też musimy w wyjątkowych okolicznościach zwracać się o odpowiedni personel dodatkowy do wielkich pasztecjarni, cukierni, czy jadalni, które nam również dostarczają wykwintnych potraw na nasz stół.

Maitre d'hôtel, albo starsza pokojówka, ma za zadanie oznajmienie pani lub panu domu, że obiad jest podany.

Mary



DYSKU'SJA Z KONIECZNOŚCI

(dokończenie)

Pan Brzeziński, w trwożnych swych elukubracjach na temat zanieczyszczania takimi łózkami domu i powietrza w nim, zapomina, — powiedzmy śmiało: — nie wie, że nawóz koński po trzytygodniowej, dokładnej t. zw. maceracji, zamienia się w ciemnobrunatną, czyściuchną, jednolitą próchnicę, która — pachnie!

Nie dziwny się zatem, iż p. Brzeziński nie wie, na czym polega zasadniczo hodowla pieczarki, tembardziej, iż w artykule swym podwakroć wspomina o... „rozkładającym się nawozie“!

Nieoczekiwany w „Ogrodnictwie“ ten passus wykazałem i omówiłem należycie na naukowym posiedzeniu Towarzystwa im. Kopernika w Poznaniu w dniu 4 lutego 1930, gdzie — uproszony przez Zarząd Towarzystwa — wygłosiłem prelekcję na temat: „Hodowla pieczarek w świetle dzisiejszej nauki“. W trakcie wykładu, odczytawszy artykuł p. Brzezińskiego, jako — jedyną dotąd „pracę“ o hodowli pieczarek w literaturze naukowej polskiej, zwróciłem się do liczego a dostojnego audytorjum, składającego się z przedstawicieli przyrodoznawstwa, biologji i t. d. naukowego świata poznańskiego, z zapytaniem, czy wiadomo im, aby cokolwiek, prócz bakterij i zwierzęcych gnilców,

mogło żyć, rozwijać się i owocować, w „rozkładającym się“ końskim nawozie?!...

...O wiele więcej, jak widać, wie o tem mój uczeń z gimnazjum Św. Marji Magdaleny, trzynastoletni Bohdan Idaszak (Poznań, ul. Półwiejska l. 26a. III p.), którego widzą tu Czytelnicy na obrazku.

Szelma śmieje się, pokazując swoje śliczne pieczarki, które mu w ciągu 7-miu miesięcy wyowocowały około 90 złotych... na trzecim piętrze w... sypialnym pokoju jego rodziców!... No, i pomyśleć: w „rozkładającym się“, gnijącym, cuchnącym nawozie w pokoju i do tego w sypialnym!...

Takich zuchów miałem 36-ciu! Chętnie poświęciłem im ferje wakacyjne r. 1929 i wyuczyłem pieczarkarstwa. Każdy miał swoją „kistę“, t. j. skrzynię drewnianą, długą na metr, na pół m. szeroką i 55 cm. wysoką. Do „kisty“ dano na 45 cm. wysoką warstwę przemacerowanego nawozu, na to zaś, po „zapikowaniu“ i przyjęciu się grzybni, na 3 cm. wysoko ziemi. „Kista“ każdego z nich kosztowała 2 zł. 80 gr. razem ze wszystkim. Produkowały różnie: zależnie od zdolności i zapobiegliwości właściciela. Ten trzymał „kistę“ w mieszkaniu, ów w piwnicy, inny zaś w komórce lub łazience: jeden z chłopaków zdołał „wyciągnąć“ z takiej żywej skarbonki aż 120 zł. w ciągu 6-ciu miesięcy produkcji!

No i proszę Was, Szanowne Panie, z takiej to „pewnej rady“ pokpiwa sobie... dyrektor Szkoły Ogrodniczej!...

Ale zostaje do omówienia jeszcze punkt jeden.



Hodowla pieczarek uczniów kl. II gimnazjum Św. Marji Magdaleny w Poznaniu. Prof. Teodorowicz i uczniowie w chwili nakładania przemacerowanego nawozu do skrzyń hodowlanych.

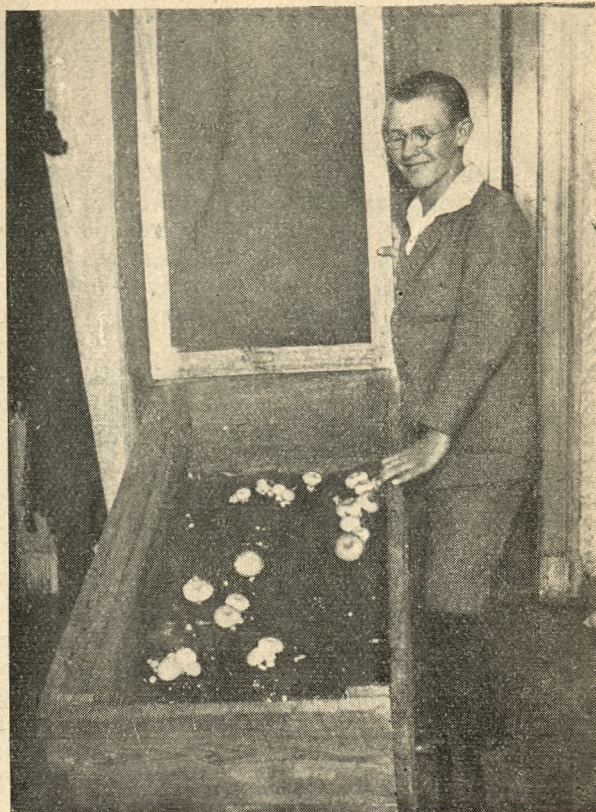
To — znów bezlitosne drwinki pana Brzezińskiego z idei (mojej, czy jego?) „rozstrzygnięcia przy pomocy masowej hodowli pieczarek sprawy bezrobotnych“.

Jeszcze raz zapytuję: czyja to idea? Bo, o ile mi wiadomo (a wiadomo na pewno!) — z myślą tą wystąpił w Polsce pierwszy pewien proboszcz podkrakowski, który zastrzegł sobie jednak nie wymienianie jego nazwiska. Ideę tę wspomniała, zdrową rzucił w jesieni 1929 w liście do redakcji „Przewodnika Katolickiego“, w którym ja myśl tę cudną podałem i rozwinąłem w odpowiednim artykule.

A że jest ona zdrowa i możliwa do przeprowadzenia, dowód tego znajdzie p. Brzeziński w „Pamiętnikach Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego“ z lat osmdziesiątych. Znajdujemy tam bardzo ciekawą wiadomość następującą: pan Władysław Leppert, inżynier-chemik, wiceprezes Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu, Handlu i Rolnictwa, propagował gorąco (lata 1870 do 1880) pieczarkarstwo wśród robotników olbrzymich fabryk firmy „Lilpop, Rau i Loewenstein“. Dawał im darmo nawóz koński i grzybnię. W ten sposób zorganizował 24-tysięczną armję robotników-pieczarkarzy! Każdy z nich miał z tego około 45 ówczesnych rubli (w owych czasach!) miesięcznego dochodu.

No, ale to byli robotnicy, 8 do 10 godzin dziennie w fabryce zajęci, a nie... bezrobotni!...

Wreszcie, za życzenia osiągnięcia celu w tem wzniosłem zadaniu, jakkolwiek — i tu nawet! — zironizowane, „Bluszcz“ i ja panu Brzezińskiemu serdecznie dziękujemy! Teraz już drogę mamy otwartą! Kobieta polska, dziś wreszcie tak dobitnie o prawdach tu przedstawionych przekonana, za przykładem pani Drzewieckiej z Wejherowa chętnie sypiać będzie na



Pieczarki wyhodowane w mieszkaniu na 5-tem piętrze.

„rozkładającym się“ nawozie, pamiętając o tem, że 4 miliony 191 tysięcy polskich koników nienadarmo je owies.

A wszystko to dzięki... złośliwościom pana Brzezińskiego, o czem pamiętając, zachowajmy dlań wielkopomną wdzięczność za tak mocną, jakkolwiek mimowolną propagandę pieczarkarstwa w Polsce!...

Poznań, w maju 1930 r.

Prof. Feliks Teodorowicz



Obfity plon pieczarek wyhodowanych w zmyklej skrzyni.

PENSJONATY - DZIECIŃCE

Mamy całe szeregi uzdrowisk dla dzieci, a w nich zakłady lecznicze, bursy, pensjonaty dla tych chorych dzieci, wybornie prowadzone, z wszelkim nowoczesnym komfortem urządzone. Mamy dla dzieci ludzi najuboższych kolonje letnie, na których dzieci te nabierają sił do przetrwania zimy w ciasnych, dusznych mieszkankach miejskich, ba! nawet w przeludnionych suterrenach. Mamy w dużych miastach tak zwane półkolonje — instytucje, pozwalające dziecku ulicy spędzać dnie całe na świeżem powietrzu, pod opieką wykwalifikowanych wychowawczyń, korzystając ze zdrowego i obfitego odżywiania.

Tylko dla zdrowych dzieci średnio-zamożnej inteligencji nie mamy dotąd nic!

A właśnie dziecko zdrowe potrzebuje latem powietrza, słońca, ruchu, ażeby to zdrowie zachować, ażeby po upalnym lecie, spędzonym w kurzu i zaduchu miejskim, po roku nie powiększyć liczby tych dzieci chorych.

Średnio zamożni inteligenci, jeżeli nawet pracują oboje — i mąż i żona — na wyjazd do jakichś uzdrowisk krajowych, ani zagranicznych stanowczo pozwolić sobie nie mogą. Duże, komfortowo urządzone wille w cienistych parkach są też nie na ich środki. Nawet stosunkowo tani pobyt we dworze wiejskim, obliczony na kilka osób, przechodzi miarę ich możliwości. Pozostaje wynajęcie gdzieś izby, lub paru izb u chłopą podmiejskiego i przeniesienie tam swoich Łarów i Penatów na upalne miesiące letnie.

Dawniej, kiedy w Warszawie był nadmiar wolnych mieszkań, drobne lokale na lato zupełnie pustoszały. Wszystko, co rozporządzało skromnymi środkami, porzucało od kwartału zimowe leże i wynosiło się na „letniak“, aby dopiero jesienią wynaleźć sobie nowe locum na zimę. Dzisiaj rzecz się ma inaczej. Każdy się trzyma tego dachu nad głową, płaci za rok cały, gotów płacić zgóry za rok następny, byle mu go nie zabrakło. Na owe okropne, na wydmie piaszczyste, rzadko porosłej suchotniczą sosną letnisko, wyjeżdża się tylko gwoili zapewnienia powietrza dzieciom. Wyjeżdża się na parę miesięcy za ledwie, gdyż nawet ta, zgruba wybielona, izba chłopska jest kosztownym zbytkiem, wobec konieczności utrzymywania zimowego mieszkania i pozostawienia w niem jakiejś płatnej opieki, ze względu na coraz bardziej rosnącą epidemję kradzieży.

Niedawno zwierzała mi się pewna znajoma: „Nie wiem, co w tym roku pocniemy? Dzieci w mieście trzymać nie sposób, musimy gdzieś wynająć letnisko. W zeszłym roku ja miałam urlop na lipiec, mój mąż — na sierpień. Jedno więc z nas dwojga pilnowało dzieci. Ze służącą ich pozostawić nie można. Przed domem, u gospodarza, gdzie zwykle wynajmujemy letnisko, ogromne bajoro, imitujące staw; o kilka kroków od niego, niczem nie przykryta, głęboka studnia. W okolicy wciąż się zdarzają wypadki pokąsania przez psy wściekłe, lub wprost złośliwe. Nakoniec dzieci wiejskie, od których towarzystwa naszych dzieci nie sposób uchronić, takie strasznie rozwydrzone, takich okropnych używają wyrażen! dzieci w ich towarzystwie wprost dżiczej. W tym roku — prawdziwa tragedia. Stach ma urlop na maj, a ja na wrzesień. Nie wiem już sama, co począć. Dzieci są zdrowe, do żadnego zakładu leczniczego ich nie przyjmą, a ulokować ich bez nas nigdzie nie widzę sposobu“.

Po rozstaniu z tą panią, zaczęłam sobie przypominać różne dziecińce-letniska, widziane przed wojną w Niemczech i w Szwajcarji. Zakłady wybornie prowadzone, cieszące się ogromnem zaufaniem rodziców, nietylko wśród inteligencji pracującej, lecz nawet w sferach najzamożniejszych. Rodzice, którym zajęcia zawodowe przeszkadzały opuścić miasto w miesiącach letnich, inni, wyjeżdżający w celach kuracyjnych lub turystycznych zagranicę, a nie chcący swych pociech pozostawiać pod zawsze niepewną opieką bon i wychowawczyń, nakoniec matki, pragnące nieco odpocząć od codziennych kłopotów wychowawczych — lokują tam dzieci w wieku od lat pięciu do dziesięciu, pewne, że je odbiorą po paru miesiącach zdrowe, wypoczęte, wybawione i nawet lepiej, niż w domu, wychowane.

Na długo przed wojną światową miałam możliwość dokładnego zwiedzenia takiego zakładu w miejscowości nadmorskiej około Rygi, obecnej stolicy Łotwy. Przechodząc często koło dużego, cienistego parku, słyszałam wesołe głosy licznych dzieci. Nie był to

przysłulek dobroczynny, gdyż dzieci były elegancko ubrane i znać było, że pochodzą z najlepszej sfery. Nie mogła to być bursa szkolna, gdyż dzieci były zbyt małe. Zaintrygowana, otworzyłam furtkę i poszłam alejką, prowadzącą do domu. Napis nad wejściem: „Kindersommerheim“, dalej nazwiska dwóch właścicieli. Przyjęto mnie uprzejmie, udzielono wszelkich wyjaśnień, pokazano lokal cały; nawet widziałam zdaleka, aby nie płoszyć gromadki, zabawę-gimnastykę wychowanków.

Właścicielki objaśniły mi, że prowadzą drugi taki zakład na wsi o parę mil wgląd kraju, we dworze wiejskim. Willę nadmorską wynajmują dla tych dzieci, których rodzice życzą sobie wyraźnie pobytu nad morzem dla swoich maleństw. Na wsi warunki komfortowe są o wiele lepsze: jest tam obfitość mleka, owoców i jarzyn, znacznie większa, niż nad morzem; lecz tu nad morzem jest możność spędzenia dużej części dnia w gorącym piasku nadbrzeżnym, możność codziennej kąpieli — rzeczy, w wielu wypadkach decydujące. Pozatem oba zakłady są prowadzone jednako.

Od maja do września wszystkie miejsca są zajęte. Zapisy się przyjmuje w kwietniu i w ciągu dwóch dni jest komplet. Powiększać zakładu nie sposób, gdyż każde dziecko potrzebuje indywidualnej opieki. Wychowanków-letników jest 24: dwanaście dziewczynek i dwunastu chłopców. System koedukacyjny okazał się najlepszy. Dziewczynki w towarzystwie chłopców są ruchliwsze, chętniej zajmują się gimnastyką; chłopcy w towarzystwie dziewczynek są grzeczniejsi, bardziej „rycerscy“, jak się wyraziła właścicielka pensjonatu.

Zwiedziłam willę. Na parterze duża sala rekreacyjna i weranda, służąca za salę jadalną. W czterech bocznych pokojach mieszczą się dzieci; po sześć łóżeczek w każdym pokoju. Okna, zakryte siatkami od much, dzień i noc otwarte. W sali sypia kolejno jedna z pań właścicieli, aby w razie potrzeby na pierwsze wezwanie móc okazać niezbędną pomoc wychowankowi. Na piąterku jeden pokój prywatny właścicieli, drugi — nauczycielek robót i gimnastyki, kolejno dyżurujących we dnie przy dzieciach; trzeci — infirmerja — stale pusta. W przybudówce kuchnia i pokój służby. Był to zwykły rozkład will nadmorskich w okolicach Rygi.

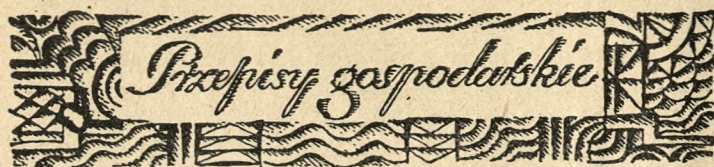
Te panie opowiadały mi, że na wsi jest o wiele lepiej, bo są zwierzęta domowe, które dzieci tak lubią, jest duży ogród, w którym mogą pracować; chociaż i tu każde ma swoją grządkę, tylko że na piasku nie wiele co chce rosnąć.

Czemu u nas dotąd nie podobnego niema? A jeżeli jest, to czemu ogółu o tem nie poinformowano?

Słyszałam, że podobny pensjonat ma powstać tego roku gdzieś w okolicy Urli. Jeśli to prawda, jakim to szczęściem będzie dla dzieci i dla rodziców. Będzie to pierwsza jaskółka; po niej niech przylecą całe stada.

Pani Elżbieta.





MŁODE KACZKI

Młode kaczki są nadzwyczaj smaczne, mają jednak dwie wady. Jedną, przykrą dla kucharek, jest to, że są pokryte trudnemi do usunięcia supłami i jeszcze gorszym puchem, dającym się tylko opalić i zmyć szczotką dokładnie. Drugą wadą, przykrą dla gospodyni, jest to, że mają niedużo mięsa. Tej drugiej można zaradzić, nadziewając je, jak kurczętą, tartą bułeczką z masłem, koperkiem, żółtkiem i usiekaną kaczą wątróbką. Zamiast jabłek, o które w czerwcu i lipcu trudno, można użyć grubych łądyg rabarbaru. Pokrajać je w duże kawałki, rozmiaru ćwiartki jabłka, i włożyć w sos, uformowany z tłuszczu i soku kaczek. Piec lub dusić bardzo niedługo, aby się jarzyna nie rozpadła. Przed podaniem posypać rabarbarum trochę cukru-pudru. Sypać przez sitko. Ten cukier jest konieczny, gdyż rabarbarum ma delikatny kwas, lecz nie posiada słodczy jabłka.

Inny, również smaczny sposób podania młodych kaczek polega na wsypaniu do sosu dowolnej ilości pokrajanych w płatki pieczarek. Po ośmiu — dziesięciu minutach wlewa się (na

dwie młode kaczki) kwaterek śmietany, zagotowuje raz tylko i sosem tym polewa pokrajane i ułożone na półmisku kaczki. Do kaczek, podawanych z rabarbarum, nie jest potrzebna żadna jarzyna. Do kaczek z sosem pieczarkowym doskonałym dodatkiem jest dobrze z masłem rozklejona kasza perłowa.

ZRAZIKI STOLECZNE

Gospodynie i kucharki, robiąc kotlety lub zrazy z drobiu i chcąc powiększyć ich ilość, dodają do mięsa z drobiu cięciny — tymczasem o wiele lepszym dodatkiem, nie zmieniającym wcale smaku mięsa z kury lub indyka, jest biała, tłusta wieprzowina z szynki lub schabu. Na zraziki, o których piszę, wziąć mięso z piersi dużej, starszej kury. Udką, skrzydełką, dróbka i kości użyć na rosół i potrawkę, lub na rosół i nadzienie do pasztecików. Otóż do mięsa z kurzej piersi dodać tyleż tłustej, białej wieprzowiny (razem będzie około 1 kilo). Mięso to przepuścić trzy razy przez maszynkę, poraz trzeci dodając ćwierć kilo bułeczki, namoczonej w mleku. Bułeczka powinna być okrajana z rumianej skórki, jeśli chcemy, aby zraziki były czysto białe. Wbić dwa żółtka, utrzeć dobrze z mięsem, dodać białka, ubite na sztywną pianę. Uformować sześćnaście do dwudziestu równych, okrągłych zrazików. Utarzać w mące i smażyć do lekkiego zrumienienia na maśle krowim lub roślinnym. Solić bardzo miarką solą dopiero przy smażeniu, po stronie zrumienionej, aby mięso pozostało bardzo białe. Oddzielnie zrumienić na maśle tyle grzanek z, bułki, ile

Przetwory i wina owocowe, konfitury

wymagają bezbarwnego, pozbawionego melasy

i nie dającego szumowin cukru

Wymaganiom tym odpowiada

carborafinowany kryształ

Superior

który w dwóch wielkościach oraz specjalnem patentowanym opakowaniu poleca

Cukrownia w Gnieźnie
Grabski, Jescheck i S-ka Tow. Komand.

Wysyłkę drobnicową tak kryształu rafinowanego, jak i kostek rafinowanych w różnych wielkościach uskutecznia cukrownia w wadze od 50 kg.

Wysyłka wagonowa przez Bank Cukrownictwa

315

NAJWYŻSZE ODZNACZENIA: Medal Złoty we Lwowie 1927 r. Dyplom Honorowy—Poznań 1928 r. Wielki Medal Złoty—Powszechna Wystawa Krajowa. Poznań 1929 r. Grand Prix—Wystawa Przetworów Rolniczych we Florencji 1929 r. Grand Prix i Wielki Medal Złoty—Wystawa Wzorów Przemysłowych, kwiecień 1930 r. Nicea.

mamy zrazików. Na każdą grzankę ułożyć po zraziku i wsunąć do pieca, aby doszły. Na pozostałe na patelni masło wysypać łyżkę mąki, zasmażyć, rozprowadzić ostudzonym rosołem, dodać parę łyżek kaparów, lub drobno pokrajanych korniszonów, zagotować razem, wlać półkwaterek śmietany, ponownie zagotować; na koniec włożyć łyżeczkę od herbaty śmietankowego masła i wymieszać, nie gotując więcej. Częścią sosu polać zraziki resztę podać w sosjerce.

RYŻ JARSKI

Nawpół ugotować młodej marchewki (drobną w całości, większą pokrajaną w kostkę), zielonego groszku, lupinek z groszku, oczyszczonych z pergaminowej łuski wewnętrznej, szparagów, krajanych w kostkę, lub kalafiorów, podzielonych na części. Gotować w osolonej wodzie. Wody tej nie odlewać, tylko po odciedzeniu jarzyn, ugotować na niej ryż, dodając dobrą łyżkę masła. Na kilo jarzyn wziąć ćwierć kilo ryżu. Formę kamienną wysmarować masłem i wysypać bułeczką. Układać rzędami ryż i zmieszane jarzyny. Dolna i górna warstwa powinny być z ryżu. Na wierzch położyć parę kawałeczków masła. Wstawić w dobrze gorący piec na pół godziny. Wyrzucić na półmisek i podać z sosem śmietanowym, pomidorowym, lub z topionym masłem w sosjerce. Zamiast mieszanych jarzyn można użyć jednego ich gatunku.

KALAREPKA NADZIEWANA

Większe, lecz miękkie, młode, niewłókniste kalarepki obrać delikatnie ze skórki, wydrążyć od strony łodygi, pozostawiając ścianki grubości palca. Środki wyjęte posiekać drobno. U tartą na tarce cebulę poddusić w łyżce masła, włożyć usiekaną kalarepkę, poddusić razem, osolić, nieco popieprzyć. Na dziesięć kalarepek dodać grubo usiekane dwa jaja, ugotowane na twardo, wymieszać, nadziewać tą masą kalarepki. W płaskim rondlu zrumienić łyżkę masła, ułożyć kalarepki nadzieniem do góry. Zalać rosołem lub wodą z rozpuszczonym w niej kawałkiem mięsnego buljonu. Dusić na wolnym ogniu, często rondlem potrząsając, aby do dna nie przystało. Gdy kalarepki zmiękną, a sos się wysadzi do połowy, wydać, okładając na półmisku zrumienionymi na maśle grzankami z bułki.

PIANKA POMARAŃCZOWA

Utrzeć trzy żółtka do białości z filiżanką cukru, dodać dwie kostki cukru, otarte o skórę pomarańczową i utłuczone, sok z malinowej pomarańczy, filiżankę białego wina (może być owocowe). Postawić na wolnym ogniu i ubijać trzepaczką, aż zgęstnieje i podniesie się, jak szodo. Strzec się zagotowania, gdyż żółtkaby się zwarzyły. Ubijać dalej na lodzie, aż zupełnie ostygnie. Dodać pianę, ubitą z pozostałych białek. Wymieszać razem. Ułożyć na bardzo zimnym półmisku. Ubrać wkoło lekkiem biszkopcikami i pomarańczowymi konfiturami. Podawać wkrótce po zrobieniu, aby nie opadła.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Lakierowanych drzwi, parapetów i t. p. nie należy nigdy zmywać benzyną, ain terpentyną, od których lakier się rozpuszcza. Również od wody z mydłem lub sodą tracą połysk i żółkną. Najlepiej obcierać je tylko wilgotną ścierką, lub myć czystą wodą z amonjakiem.

*

Białe plamy, powstałe na politurowanych meblach od rozlanej i pozostawionej wody, lub od gorących naczyń, schodzą po natarciu naftą. Jeżeli lakier się zmatuje, można meble obmyć czystą, ciepłą wodą z mydłem, a po zupełnym wysuszeniu przeciągnąć bezbarwnym lakierem.

KORESPONDENCJE

Pani Stankiewiczowa w Borzenach. Masło śmietankowe na konserwę mniej się nadaje od masła z kwaśnej śmietany. Sposób solenia masła był parokrotnie podawany w „Bluszczu”. Najlepszym sposobem konserwowania masła jest topienie go. Witaminy giną w maśle przy smażeniu, a masło mocno solone nie nadaje się do spożycia na surowo.

Pani Elżbieta.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-73

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Parę słów o pracy społecznej.

Rozdzielanie pracy na społeczną i zarobkową, przeciwstawianie jednej-drugiej, jest krzywdą dla zarobkowej. Pracę społeczną stawia się wyżej pod względem wartości etycznej, jako że jest to praca par excellence ideowa.

Podział ten i te różnice nasunęło życie praktyczne. Teoretycznie, a jedynie słusznie jest twierdzić, że każda praca powinna być pracą ideową, społeczną. Wydzielanie pracy zarobkowej z pośród różnych rodzajów pracy społecznej, wysuwanie motywu, że praca zarobkowa jest pracą dla siebie, bo daje pieniądze, jest wynikiem fałszywego stanowiska, jakie przyjęliśmy wobec pracy wogóle. Wszelka praca powinna być emanacją naszej energii wewnętrznej, a w praktyce jest często poprostu przekleństwem życia.

Praca nie może być żadną emanacją sił duchowych, gdy, po pierwsze, przechodzi wytrzymałość fizyczną, powtóre, gdy nie jest równoległa do naszych umiowań i zdolności. My, kobiety, które od niedawna weszłyśmy, jako materiał roboczy, na światowy rynek, pracy swojej absolutnie sprzedawać nie umiemy, co zresztą nie wydaje mi się być naszą winą. Lecz winą się stanie, gdy nadal przeciwstawiać się złu nie zaczniemy.

Aby rozpocząć racjonalną reformę, czyli raczej wytknąć sobie plan działania na przyszłość, należy przede wszystkim odpowiednio ustosunkować się psychicznie. Uważałabym, że ideowo należy traktować każdą pracę zawodową (i pracę domową kobiet, łącznie z wychowywaniem dzieci). Aby tak było, trzeba zawód kochać, aby go zaś kochać, trzeba go wybierać z rozmysłem, biorąc pod uwagę zamiłowanie i zdolności, w czym psychotechnika wiele pomóc może. Dziś żądać od kobiet, by ideowo spełniały swój zawód, jest conajmniej ironją, gdy większa ich część pracuje w „zawodach”, do których zmusiło je nie umiowanie rodzaju pracy, a łatwość otrzymania posady (fabryki, biura).

A więc niech praca zawodowa stanie się ideową, to pierwsza potrzeba chwili. Będzie wówczas „społeczna”, bo rezultat jej będzie doniosły społecznie, a nie tylko efektywnie dla jednostki, dając jej utrzymanie, bo stanie się wydajną i intensywną.

Któraś z pań twierdziła w naszej dyskusji, że wystarczy, gdy każdy uczciwie zawód swój spełniać będzie. Przenigdy! Może trzeba przytem powiedzieć „niestety”, ale naprawdę, jeśli chodzi o maksymalne dobro społeczeństwa, praca poza-zarobkowa nigdy nie będzie zbyt uczciwa. Przede wszystkim dlatego, że znajdzie się zawsze pewien odłam ludzi chorych lub niedbałych, za których praca spełniana będzie przez innych i zawsze będzie jakaś klasa ludzi uprzywilejowanych (ja twierdząc: upośledzonych), którzy, pracować nie potrzebując, pracować nie będą. I w ten sposób zawsze tworzyć się będą zaległości, czekające „miliarnych” rąk. I te ręce zawsze się znajdą.

Znaną jest rzecz, że ten ma najwięcej czasu, kto ma go najmniej, może dzięki temu, że musi wtedy umiejętnie rozporządzać czasem: „społecznie” (dałam cudzysłów, bo właściwie każdą pracę chcę nazwać społeczną) pracować będą zawsze ci, którzy widzą potrzeby społeczne i mają wewnętrzny impuls do pracy; znużeni jedną, np. zawodową, rwą się do innej.

Wierzę, że zawsze znajdą się „społecznicy”. A dziś, kiedy w państwie polskim tyle terenów leży odlegiem, gdy tyle placówek czeka na ludzi oddanych, gdy tyle jest biednych, nieszczęśliwych, wykończonych, chorych, fizycznych i moralnych kalek powojennych, gdy tyle jest idei, świeżo narodzonych, dziś nie wolno nam marzyć o tem, by po najuczciwiej nawet spełnionej pracy zawodowej, tylko odpoczywać.

Ale jeśli społecznie (pozarobkowo) pracować chcemy, to rzeczywiście pracujemy z sensem, z pożytkiem. Zastanówmy się dobrze, co nam tę wydajność zagwarantuje.

I znów wrócę do tego, o czem pisałam w związku z pracą zawodową. *Nie bierzmy się do tej pracy, do której nas zblży przypadek, a wybierzmy tę, która sercu naszemu bliska.* Jeżeli która z nas najbardziej kocha dzieci, niech pracuje w tym kierunku, by dzieciom w Polsce było lepiej. Jeżeli którą boli dzisiejszy upadek moralności, niech działa dla podniesienia wartości etycznych w społeczeństwie. Jeżeli która kocha wiedzę, niech szerzy swe umiłowanie wokół siebie. Jeżeli która z nas ma dar organizatorski, niech organizuje. Jeżeli ma dar wymowy, niech przemawia itd.

A wszystkie kobiety uspołecznione niech budzą rzesze biernych do życia czynnego, do spraw ogólnych, wybaczaj Panie... do czytania dzienników! Wstręt kobiet do dzienników to najsilniejszy wyraz obojętności ich dla spraw ogólnych.

Na zakończenie dodam jeszcze, że pamiętny nam artykuł p. Strzeleckiej mówił wyraźnie o *odwrotnej* stronie medalu, o złej pracy społecznej.

Odkrywanie błędów nie powinno nigdy zniechęcać, raczej podniecić aktywność w kierunku racji.
Zofja Dzieciolowska-Brykalska.

Proszę o głos.

Dyskusję, jaka się od pewnego czasu toczy w „Bluszczu” na temat dzieciobójstwa, śledzi świat męski polskiej inteligencji z zapałym oddechem. Mam wrażenie widoku wprost sceny, na której coraz pojawia się nie aktorka, mniej lub więcej udatnie odtwarzająca swą rolę, ale kobieta rzeczywista, kobieta-człowiek, owo najsilniejsze ogniwo w łańcuchu piękna epopei narodu polskiego, o którym tyle napisał Sienkiewicz, Prus, Żeromski i wielu, wielu innych odtwórców typu polskiej kobiety.

Oniemieni niespodzianką, patrzymy zimno, krytycznie, ale ciekawie. Bo, gdybyż to były nagie tancerki, piękniejsze jeszcze, egzotyczniejsze, niż dotąd! To cóż! jeden tyk wina więcej i „zabawa” skończona! Ale dziś co innego! Ze znudzonego szablonu sprośności audytorjum powstają oto... nasze matki, żony, siostry, córki i krzyczą: dość tego! dość tych komedyj! wychodzą śmiało na scenę. A jak odważnie, z jakim niespodziewanym spokojem!

...Więc śledzimy sceny te z zapałym oddechem... Bo ileż tam nieoczekiwanych efektów! Oto kobieta, uważana przez nas dotąd za ideał piękna, okazuje powykrzywane „nóżki”; inna znów zdeformowany biust, inna wreszcie zbyt wąskie biodra, lub obwisłe ramiona. Lecz przeciwnie: są niespodzianki i miłe! Oto gąska, szaraczek, „gosposia zahukana” wyrosła

nagle na scenie tej, jak Wenus z Milo, lub inna, choć może mniej piękna, urokiem głębokiego czarunku duszy i sumienia, olśniewa, porywa tak, że serca bić przestają!

Przedstawienie trwa, a w nas budzą się refleksje: toć to kobieta nasza, a najistotniejsza, bo naga! Dotąd tyleż brzydkich, co i pięknych. Które przeważa? Jakież typ ostatecznie zwycięży?...

...A poza sceną, poza przedstawieniem... życie szare, codzienne, płynie swem jednostajnym korytem...

Odwieczne przekleństwo Boże, piętnujące Kainę, czai się wszędy pośród nas...

Ludzkość dla wygody coraz to wielmożącego, się i stąd z dnia na dzień trudniejszego życia mas, do Bożego zakazu: „Nie zabijaj!”, dodała słowa: „bez potrzeby!”.

Ale, obok praw „naturalnych” istnieją i prawa „ludzkie”, przez wieki i rozumy całych wieków nakazane i dotąd szanowane!

Pierwsze, jako „naturalne”, ze stanowiska przyrody żywej.

Zadziwią się zapewne Czytelniczki, gdy zdradzę tę oto, nieznaną dotąd ogółowi, tajemnicę „etyki” świata zwierzęcego: ze wszystkich zwierząt ziemi zabija i zjada żywe własne dzieci jedynie świnia. Poza tem, ciekawsza jeszcze rzecz: oto jedyna, z pośród wszystkich zwierząt, oddaje się ona samcowi w okresie ciąży.

Natomiast n. p. lwica, wybranemu samcowi doggonnie wierna, jest, jak wiadomo, przysłowiowym wzorem miłości i opieki macierzyńskiej, zdobywając się w obronie dzieci swego gatunku na znacznie więcej nieustraszonej odwagi, niż te wszystkie kobiety, co nasłuchując podszeptów Boya-Kusiciela, ponownie wyciągają bezecną dłoń wygody po owoc z drzewa zakazanego!...

A prawo ludzkie? Ono, wiadoma rzecz, przysądza dziecku, w łonie matki żyjącemu, prawo dziedziczenia majątku.

Więc jakżeż to, na miłość Boską! Maż się w Polsce dopuścić swobodne zabijanie niewygodnych, choć uprawnionych społecznie, obywateli?!...

„Nie zabijaj... bez potrzeby!”...

A jakaż tu potrzeba?... Czy nie zatarcia śladów potęgującego się dziś tak zastraszająco zwyrodnienia zmysłowego? Czy nie poprawienia „omyłki”, popełnionej w tak modnym dziś transie alkoholowym? Czy nie zatuszowania koniecznych następstw orgjastycznego tarcia się ciał o siebie w tańcu nowoczesnym?!...

Bo kobieta, której dziecka ojcem była miłość, nigdy i za żadną cenę płodu swego nie zabije!

Pani Marcie Bohuńskiej, domagającej się uprawnienia do spędzania płodu „narazie” dla kobiet ze sfer pracujących, proponuję kompromis: oto niech kobiety-pracownice lub żony pracowników fizycznych mają swobodę w spędzaniu lub utrzymywaniu przy życiu swego płodu, z warunkiem, że prawa tego nie posiadzie kobieta z arystokracji, plutokracji i psychokracji, czyli zamożnej, a niepracującej fizycznie, przeciętnej inteligencji. W ten sposób, jak sędzę, najpomyślniej rozwiąże się postawiony przez p. Bohuńską problem eugeniki; oto przestaną się rodzić w Polsce po suterrenach i zaułkach „kretyni”, „matolki” i „mięso dla armat”; natomiast, przychodząc na świat w błogosławionej obfitości w eleganckich sypialniach i sanatorjach, sami „panicze” i „panienki” zapelniać będą, ku coraz większej społecznej i ekonomicznej pomyślności kraju, urzędy i... kryminaly!

A zapomina pani Bohuńska, czy nie wie na pewno, że zająć w ciążę, urodzić dziecko jest szczytem najgorętszych marzeń i pragnień każdej, owej „naj-nędzniejszej”, ulicznej (nie salonowej!) prostytutki, która, co niedzielę i święto chodząc do kościoła, prosi

ze łzami Boga o jedno tylko; o dziecko, przez które On uczyni ją matką, człowiekiem!...

Wszystkim innym zaś Paniom przypomnę... „bajkę Sabałową”:

„...A Poniezus prask śmierć w pysk i peda: to o chroboku w skalce na dnie moza nie zabacylek, a o bidnych sirotach byk zapomniał? Chybaj, bier matkę”.

Prof. Feliks Teodorowicz — Poznań.

Jeszcze o „nieślubnem macierzyństwie”.

Choć już raz wypowiedziałam ogólnie, co myślę o nieślubnem macierzyństwie, chcę dodać dzisiaj jeszcze kilka uwag.

Sprawa ta, bardzo zawikłana, wiążąc się z problemem prostytucji, jak słusznie zauważyła p. Zawiszanka, ciągnie za sobą cały szereg różnego rodzaju krzywd, to wrzód ropiejący w żywym ciele społeczeństw, który trzeba by wyciąć. A wyciąć, znaczy *potępić w opinii, potępić w zasadzie*, bezwzględnie, śmiało, gdyż tego wymaga dobro sprawy, bo od tego zależy wreszcie zwycięstwo, które wszelkie *kompromisy* odwlekałyby w nieskończoność.

Inna rzecz, gdy idzie o *postępowanie* względem tych „słabych, nieszczęśliwych istot”, które „zgrzeszyły”, co przyznaje przecież autorka artykułu „Zieleń życia a szare teorie”.

Stosować wobec nich „bezwzględność”, w imię „bezwzględnej zasady” byłoby to już nietylko ciasne doktrynerstwo, byłoby to *okrucieństwo*, niegodne wogóle człowieka, cóż mówić o kobiecie. Żadna z nas, przypuszczam, w ten sposób nie pojmuje kwestji; jednak i najlitościwsza, najtłkliwsza, o złotem sercu i złotych dłoniach, nie nazwie białego czarnem, a czarnego białem, z chwilą, gdy pewne rzeczy za takie uzna jej etyczne kryterjum.

Dalej, głos opinji wydaje mi się konieczny, tam zwłaszcza, gdzie niema „natury bardzo refleksyjnej, ni wysokiej kultury”. Jest to jakby liamulek, trzymający na wodzy zbyt wybujałe instynkty, ognisty temperament obojga płci, w przeciwnym razie wszystkie Marysie i Kasie grzeszyłyby bez skrupułu, mimo zakazów religijnych, bo „Pan Bóg daleko — a cudna noc księżycowa i jego oczy jedyne, blisko”...

Grzeszyłyby jeszcze więcej, gdyby macierzyństwo uniewinniało ich słabość w opinji społecznej, czyniąc je godnymi szacunku, narówni z ślubnymi matkami, jak tego chce p. Krawczyńska, a ostatnio p. Zawiszanka.

Bywa i tak, ale za tem wypowiada się wówczas duch rasy i obyczajów. Są np. w Austrii okolice, gdzie mężczyzna, nim ożeni się z wybraną niewiastą, ma z nią dwoje, troje dzieci.

U nas, przeciwnie; w $\frac{3}{4}$ wypadków nie żenią się z uwiedzionymi dziewczynami, lekceważąc je, a wynika to także i z tego, że jednak nie wszędzie i nie zawsze mężczyzna działa z rozmysłem, oszukuje, „demoralizuje”. W obecnych czasach często właściwą przyczyną zła, „uwodną rusałką” jest „słaba” a chytra niewiasta, licząca nie na „alimenty”, a na małżeństwo.

Wogóle „nieślubne macierzyństwo”, to dziedzina najjaskrawszych kontrastów i niespodzianek. Tu, obok tkliwych uczuć, głębokiej, prawdziwej miłości, występują masowe nadużycia, na tle słabości, naiwnej wiary kobiecej popełnione.

Dlatego, niestety, trzeba tę słabość potępić, dlatego nie można jej ogólnie szanować, a koniecznie uodpornić się w nas samych, w imię interesu dziecka i społeczeństwa. Reasumując: na podstawie zdefiniowanej zasady *nie dopuszczać* do nieślubnego macierzyństwa, przez racjonalne uświadomienie i propa-

gandę abstynencji płciowej przed ślubem, oto według mnie, *pierwszy* i najważniejszy środek zwalczania zła.

Następnie, zasada sama w wypadkach spełnienia faktu nie wyklucza bezapelacyjnie szacunku dla matki nieślubnej, bo może i *musi* być ona szanowana w miarę swych zasług i przysług, ale nie zależy to tylko od niej samej, zależy to w znacznej mierze od warunków, w których żyje, od otoczenia, z którym się styka.

„Odrzucona przez rodzinę, sponiewierana, doprowadzona do nędzy i rozpacz, faktycznie skręć kark noworodkowi i pójdzcie na ulicę”... A uczyni tak przez brak *litości, wyrozumienia, współczucia, pomocy wreszcie*, które dla niej potrzebne są bardzo w chwili depresji duchowej i fizycznej. Brak szacunku dla czynu macierzyństwa nieślubnego nie jest jeszcze pogardą *człowieka w kobiecie* okłamywanej, nieszczęśliwej. Zdaje mi się, że żadna z pań tego nie twierdziła, a jeżeli zdarzają się, i często, wspomniane wyżej wypadki; świadczą tylko o *okrucieństwie* jednostek czy rodzin, które wtedy zasługują na pogardę.

A więc drugim, nieodpartym wnioskiem, zwalczającym, czy zmniejszającym zło, jest *porócenie matce nieślubnej litości, wyrozumienia, współczucia wreszcie*, uwidoczniomym w pomocy wszechstronnej; materialnej i moralnej, a obowiązującej w tymże samym stopniu społeczeństwo i jednostki.

Wówczas nieszczęśliwa, jeżeli jest coś warta, na pewno zasłuży na szacunek, tak wobec swego dziecka, jak i wobec innych; nawet „uwodziciel” inaczej na nią spojrzy (taka to jest natura ludzka!); ona sama zaś nigdy, przenigdy nie powiększy grona prostytutek, tej „hańby, zmory, ohydy XX-ego wieku”.

Zdaje mi się, że stawianie jasno jakiejś kwestji, czy określenie jej społecznej i etycznej wartości, nie jest jeszcze „zbeszczeszczaniem istot ludzkich”, a przeciwnie, należy do obowiązków świadomej swych celów i przeznaczeń kobiety-obywatelki, która raz musi zerwać z tradycją przeszłych dni, kiedy to królowała, jako „puch marny, wietrzna istota” (zresztą więcej w literaturze, niż w rzeczywistości!), ponieważ owe tradycje dzisiaj są nie tylko wysoce nieaktualne, ale nawet szkodliwe.

Zofja Perzowska — Byteń.

Post scriptum (do ostatniej mojej polemiki).

Odczytawszy replikę p. Dzieciołowskiej, widzę spełnienie swych przewidywań: zarzucono mi, trochę między linjami, coś naksztalt „niemoralności”. Ha, trudno, zdarzało się to i lepszym znacznie odemnie. Bronić się nie myślę, chyba prośbą do szanownych czytelniczek o uważne odczytanie, raz jeszcze, mego „poetyzowanego”, lecz trzeźwego wywodu. Ja z kolei stwierdzam tylko, że obecne stanowisko p. Dzieciołowskiej już się nieco różni od poprzedniego, zaś opisane przez nią dwa fakty budzą mój rzetelny szacunek (inny byłby los nieślubnych dzieci, gdyby tak postępowały wszystkie chlebobawczynie). Skądże zastrzeżenie, co do kwestjonowania ich autentyczności? Nigdy nie posługuję się takimi środkami w polemice, tym razem zaś o tyle jeszcze byłam dalsza od tej pokusy, że nigdy nie twierdziłam, jakoby uwiedzioną dziewczyną nie dała się już uwieść po raz drugi...

Nie rozważałam też wcale, jako zbyt skomplikowanej, kwestji, kiedy macierzyństwo jest, lub nie jest grzechem, mając raczej tendencję do powtórzenia za Boskim Nauczycielem: „Kto z was jest bez grzechu?”

Mimo tonu wyższości, jaki bije z odpowiedzi paru moich przeciwniczek, sędzę, że różnimy się nie poziomem, czy wrażliwością moralną, lecz szerokością horyzontów raczej. Niemniej od nich pragnę podnie-

sienia obyczajowości seksualno-rodzinnej (i innej także!) w społeczeństwie, lecz nie mogę przestać widzieć pewnych konieczności socjologicznych, które mi są jasne, odkąd trochę zrozumiałam życie. Zasłaniać sobie oczy, dla wygody swojej, czy cudzej, lub chować te prawdy tchórzliwie „pod korzec”, skoro się już o nich poważnie dyskutuje, byłoby wobec mojego sumienia, właśnie występkiem przeciwko etyce.

Z. Zamiszanka.

Jak powinniśmy być litościwie (w odpowiedzi p. J. Ł.).

Szanowna autorka stawia paniom domu dziwne zarzuty. „Krzywo się patrzy na służącą, chodzącą na zabawy lub do kina”? Ależ każda ma ściśle określone godziny wyjścia i wolne popołudnia, może chodźć, dokąd chce, i nikt jej nie kontroluje.

„Oburzenie wywołuje służąca, jeśli się chce porządnie ubrać, chociaż ciężko musi pracować na sukienkę czy buciki”.

Prawie wszystkie panie wręcz wymagają, by się dziewczyna porządnie ubierała. U mnie na służbie muszą chodzić w białych fartuszkach i czepeczkach. Nie toleruję sukni, nie zakrywającej kolan, krótkich rękawów i dekoltów. Gdy wychodzi, może się ubrać podług swego gustu. Jeżeli nawet od urzędniczek po ministerstwach żądają pewnego sposobu ubierania się, również od nauczycielek (naturalnie, w godzinach służbowych), to i służąca musi się zastosować. Widok „modnie” ubranej pokojowej w krepdeszynach, jedwabnych pończochach i lakierkach obniża, moim zdaniem, poziom domu.

Dziewczynę nie można zabronić kupowania *kosztownych galanków*, zresztą, nie kupi ich, bo nie ma na to. Ale wydaje nieraz znaczne sumy na *tandety*, przepłaca rzeczy *liche, bezwartościowe* imitacje drogich tkanin, czy nawet biżuterji.

Jeżeli pani „wydaje pieniądze bez zastanowienia”, to robi źle, ale to jeszcze nie powód, aby i służąca to samo robiła.

Coprawda, nie spotkałam u siebie, czy u znajomych dziewczyny wyperfumowanej. Efekt byłby conajmniej dziwny. I tu powiedziałabym: niech się perfumuje, ale poza służbą. Dziś toleruję perfumy, czembym jutro nie miała tolerować podczernionych oczu, czy wykarminowanych ust? lub szminki?

„Dlaczego służąca ma chodzić w koślawych butach lub staroświeckiej sukience?”

Czemu krańcowości? Nikt od niej *tego* nie żąda. Owszem, jak już mówiłam, pani powinna uważać, żeby służąca była *porządnie* ubrana.

Jeszcze kwestja przyjmowania narzeczonego. Osobiście nie mam nic przeciwko temu; niestety, te wizyty rzadko się kończą małżeństwem, a częściej chrzciniami.

Nie sprzecajmy się o to, czy „rozpustnice” mają dzieci, czy nie; w każdym razie nie mają ich czyste lilje, a kobieta, na jakimkolwiek stoi szczeblu społeczeństwa, zawsze ponosi konsekwencje nieślubnego macierzyństwa.

Zgadzam się z p. J. Ł., że to są „rzeczy straszne”, i że trzeba się starać o sposób ulżenia niedoli tych kobiet. Ależ, na miłość Boską! nie róbmy z nich bohaterek, co cierpią za to, że „chcą, jak my, kochać”. Czy *nasza* miłość znajdowała ujście w przedślubnym macierzyństwie? Chyba nie!

Mamy obowiązek zająć się losem nieślubnych dzieci i uwiedzionych dziewcząt, ale nie róbmy z nich ofiar, czy uciśnionych niewinności i nie tłumaczymy, „że posiadają ten sam instynkt” i nie są pozbawione „*właściwości kobiety*”.

W. S. M. — Wolsztyn.